

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 28. Warszawa dnia 1 (13) Lipca 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu	na prowincyi w Cesarstwie i Królestwie.
rocznie . . . rs. 6 k. —	
półrocznie . . „ 3 „ —	rocznie . . . rs. 8 k. —
kwartalnie . . „ 1 „ 50	półrocznie . . „ 4 „ —
miesięcznie. . „ — „ 50	kwartalnie . . „ 2 „ —

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50.—w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EXPEDYCYĄ
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* we Lwowie *w Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; w Krakowie w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* w Wilnie u *J. Zawadzkiego*.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

BRAK UZNANIA.

Każde społeczeństwo jest summą pojedynczych jednostek. Jednostki te grupują się w pewne warstwy, odcienia, które wyłaniają z siebie całe szeregi typów, stanowiskiem, działalnością, bogactwem—wpływowych bezpośrednio na właściwe sobie warstwy, a pośrednio na losy społeczeństwa... Z tego powodu takie jednostki typowe, zajmujące wybitniejsze stanowisko w szeregach jednostek społecznych, będące głównemi motorami ruchu, ogólnej pracy, zyskują moralnie lub materyalnie więcej aniżeli zwyczajne indywidua. Nic słuszniejszego... Tamtym towarzyszyły większe zdolności, energja, bystrzejsza myśl, szybsza działalność, i t. p. na koniec szczęście. Sprawiedliwość powinna być nieubłaganem prawem w rozdziale wynagrodzenia za trudy i prace. Tyle co do ogólnej zasady. Weźmy teraz pod uwagę społeczeństwo nasze, ażeby przyjrzawszy się niektórym szeregom jego jednostek, oraz ich wzajemnemu stosunkowi, wynaleźć na tle rzeczywistości odbicie lub sfałszowanie tej zasady. Jasno więc postawiwszy kwestyą obejmijmy obserwacyą dwa typy społeczne, mianowicie: intelligencyą młodą, szukającą pracy i... reprezentantów większych kapitałów, produkowanych mozolną pracą wielu jednostek.

Wiadomo każdemu, jakie krążyły i krążą opinje, co do pierwszego typu. Kraj nasz, wołamy, potrzebuje ludzi zdolnych, specyalnie wykształconych w rozlicznych gałęziach pracy społecznej. Niechaj się młodzież kształci, napomina szlachetnym głosem prasa nasza, zarówno w prawie, medycynie, jak w technice i ekonomii. Samych tylko prawników i lekarzy mieć nie chcemy, bo kraj nasz oprócz tego potrzebuje zdolnych inżenierów, mechaników, agronomów, ekonomistów, przemysłowców, kupców i tym podobnych pracowników społecznych. Jeżeli która z tych gałęzi jest u nas uprawianą, to idzie tępo, bez należytego jak gdzieindziej postępu, bez właściwej znajomości rzeczy, bez wyższych krytycznych poglądów, traktowana tylko rutynicznie, bo brak nam mówimy takich ludzi, brak nam uzdolnionych specyalistów. Lecz jeżeli tak jest, muszą więc być przyczyny tych braków, tego nieuzdolnienia, tego zacofania naszego. Bezwątpienia że są, leżą one w naszej przeszłości, w naszych dawnych przesądach, w zbyt powolnem wyrabianiu się stanu średniego, w braku środków kształcenia się i w wielu innych różnorodnych przyczynach, które złożyły się na naszę niekorzyść, którym my sami po większej części winni jesteśmy, a o których już nie jednokrotnie tu i owdzie mówiło się i mówić będzie. To wszystko prawda. Oceniamy głęboko szlachetne napomnienia prasy, zacne rady myślących ludzi, podzielamy obawy wynikające z braku specyalnej intelligencyi nakoniec przyznajemy, że tąkie a takie przyczyny spowodowały ten brak, lecz prócz tego, przyjrzawszy się bliżej trzeźwemi oczyma dzisiejszemu ruchowi społeczeństwa naszego, znajdziemy coś, co jak szydercze widmo staje w obec zacnych

chęci do intelligentnej pracy. Tem coś jest *brak uznania*.

Czytelnik pojmuje iż nie mamy zamiaru zniechęcać tem szlachetnych usiłowań młodzieży naszej, owszem serdecznie im przyklaskujemy i gorąco pobudzamy do czynu. W tem miejscu podjęliśmy tylko zadanie rozjaśnienia kwestyi usiłowań młodej intelligencyi na punkcie *braku uznania*, by powołać winnych do rehabilitacyi. Głos bowiem publicysty ażeby był pożytecznym zarówno musi odchylać strony dodatnie jak i ujemne społeczeństwa, zarówno zwracać się do słabych jak i silnych, możnych i potrzebujących, sprawiedliwych i niesprawiedliwych, a zawsze być wyrazem sumienia.

Kogóż więc stawiamy pod zarzutem *braku uznania*, kto ma być tym winnym, którego pobudzić chcemy do rehabilitacyi? Odpowiadamy typ drugi, to jest *reprezentacya większych kapitałów, produkowanych mozolną pracą wielu jednostek*. Zarzut ten nie mały, postawiony przez nas z całą świadomością, postaramy się wytłomaczyć.

Sumienna bezstronność przyznać zniewala, że jeżeli kiedy to dziś cała intelligentna część młodzieży naszej robi co może, ażeby się stać pożyteczną krajowi, a sobie wywalczyć dobrobyt, oparty na stanowisku produkcyjnego pracownika społecznego. Tego nikt nam zaprzeczyć nie jest w stanie, kto się zdrowemi oczyma przyglądał usiłowaniom naukowym młodzieży naszej w ostatnim lat dziesiątku. Są indywidua pomiędzy tą młodzieżą,którzy mimo braku środków materyalnych garnęły się do nauki z całą wytrwałością, nie bacząc na przeszkody imały się książki by coraz szybciej biedz do jedynego dla siebie celu, do światła nauki, które jak ożywczy zdrój miało je wzmocnić i przygotować do pożytecznej pracy.

Są tacy, którzy dla braku odpowiedniego zakładu naukowego w kraju wyjechali za granicę dla studyów technicznych i z pomocą czy to rodziców, czy krewnych lub opiekunów albo wreszcie o samopomocy, z wytrwałością godną uznania pokończyli kursa w Szkole Centralnej w Paryżu, w Gandawie, w Liége, w Karlsruhe, i t. p. Są i tacy, którzy pokończyli akademie handlowe w Lipsku, Gdańsku lub Wiedniu, także z niemałym trudem wzmacnianym nadzieją lepszej przyszłości. W ogóle rzec można, przybył nam w ostatnich latach pewien kontyngensu specyalizowanych teoretyków, którzy z całym zapałem i świadomością pragnęliby wiadomości z takim mozołem nabyte, spożytkować w praktyce na korzyść własną i ogólnego dobra. Jest to wprawdzie maleńka tylko cząstka ogólnej cyfry młodzieży naszej, to wszakże dla tego fakt nie przestaje być faktem iż jest i z każdym rokiem zwiększać się będzie. Cząstkę tę, sprawiedliwie nazwać możemy chlubą i ozdobą społeczeństwa naszego.

Ci ludzie chcą być prawdziwemi obywatelami kraju, mężami i ojcami rodzin, chcą być pożytecznemi czynnikami w duchu rozwoju dobrobytu społecznego, oraz własnego i własnych rodzin, w ognisku których pragnęliby czerpać moralne siły do rzetelnej i produkcyjnej pracy. Każdy się zgodzi iż tak zacne chęci i usiłowania, którym tylko przyklasnąć należy, które stanowią zdrowe zarodki szczęścia przyszłych pokoleń, winny zyskać należne uznanie i poparcie tam gdzie tego najbardziej z natury rzeczy spodziewaćby się należało, to jest tam gdzie praca ich najwłaściwiej i najpożyteczniej zastosowaną być może i powinna.

Zobaczmy więc czem jest ta druga strona, jak odpowiada tak zacnym usiłowaniom pierwszej—i jak pojmuje obywatelskie obowiązki, których powinność spełnienia ciążyć nieodwołalnie na niej powinna.

Do tej drugiej grupy zaliczamy indywidua możne bogactwem a stąd i wpływami, obracające kapitałami, obliczanemi na setki tysięcy rubli, a zdobytemi drogą spekulacyi, drogą wyzyskiwania mozolnej a słabo wynagradzanej przez nich pracy wielu jednostek, wreszcie drogą chwilowych obrotów pieniężnych. Cały znaczniejszy przemysł i handel spoczywa w ich ręku. Ci są promotorami wyższego ruchu ekonomicznego, ci monopolizują na swoję wyłączną korzyść większe przedsiębiorstwa, ci nakoniec oparłszy się silnie na kapitałach exploatowanych z łona bogactwa krajowego, zakreślają dowolnie godziny pracy i naznaczają cenę za takową. Są to szczęśliwcy znani ogółowi pod mianem *wybrańców fortuny*, dla których wszystkie drogi doczesnego szczęścia, o ile takowe pieniędzmi zdobyć można, stoją otworem.

Jakkolwiek większa część tej grupy i to część najmożniejsza i najwpływowsza składa się z dwóch elementów: żydowskiego i germańskiego, z których pierwszy reprezentuje cały handel i przedsiębiorstwa, a drugi przemysł, to wszakże ani na jotę nie zmniejszają się ich obowiązki społeczne dla kraju w którym się wzbogacili, w którym równych z innymi obywatelami praw i ponętnego dobrobytu używają. Tym czasem ci panowie zdają się być innego zdania. Na prawa młodzi, na osobiste zbogacanie się i dobrobyt najzupełniej się zgadzają, ale na obywatelskie obowiązki względem społeczeństwa, którego mienie aż nadto wyzyskują, bynajmniej się nie piszą. Ich hasłem jest; *drzyj łyko póki można*, monstrualne sobkostwo niedopuszczające najmniejszego poczucia obowiązków społecznych i ciemięztwo pracy. To ich zadanie, to ich działalność społeczna! Mniemacie może żem ich za surowo osądził. Zapytuję więc, gdzież jest choć jedna gałęź sztuki, gdzież jest choć jeden kierunek naukowy, gdzież są nakoniec ulepszenia ekonomiczne w życiu tysięcy spoconych pod ich jażmem pracowników? Czyż jest choć aby jeden wybitny objaw ich społecznej działalności, któryby świadczył o zacnych popędach dla dobra zbiorowego życia? Szydercze *nie* jak przeciągłe echo brzmi w trzeźwych uszach za całą odpowiedź.

Natomiast powiększanie liczby godzin pracy, zmuszanie do takowej przy świetle gazowem w późnych wieczornych godzinach, zmniejszanie płacy za pracę mimo coraz to większej drożyzny codziennych potrzeb do życia, oto ich działalność dla drugich. A jeżeli gdzie niegdzie podniosą się sprawiedliwe głosy, żądające podwyższenia zapłaty za tę pracę, ci panowie na tak szalone podług nich propozycye odpowiadają w największem oburzeniu „że dziś za mniejsze pieniądze pracę magistrów kupić można, że zamiast powiększenia zmniejszyć ją gotowi, bo ludzi jest pod dostatkiem, bo dziś za pieniądze ludzi kupić można”. (!!) Komentarzy do słów tych dodawać nie potrzeba. Nie są to czcze deklamacye, ale niezbite fakta, same już przez się mówiące wiele, a nieobce zapewne czytelnikom naszym. Lecz idźmy dalej ażeby dojść do punktu, na którym zamierzyliśmy dowieść założenia naszego.

Powiedzieliśmy, iż mimo wszelkich utyskiwań na brak specyalistów, posiadamy pewien kontyngens młodych teorytyków, którzyby pragnęli wiado-

mości swoje spożytkować w praktyce. Odpowiedzmy teraz czy ci ludzie znajdują u nas właściwe uznanie i odpowiednie pomieszczenie?... Znów wyrzec trzeba to nieszczęsne *nie*! Ach to już pessymizm zawołasz czytelniku... Pozwól, zaraz cię przekonam.

Znam młodych inżenierów którzy chlubnie pokończyli zagraniczne uniwersytety, jedni z nich wykwalifikowani są jako inżenierzy dróg i mostów, drudzy jako inżenierzy mechanicy.

Cóż powiesz? Ci ludzie kołatali do niejednych drzwi, robili starania, usiłowali dostać odpowiednie zajęcie, czy to jako technicy przy zakładach przemysłowych, czy jako inżenierzy przy drogach żelaznych. Wszędzie albo zbywano ich nigdy nie mającymi się ziścić obietnicami, albo odprawiano z kwitkiem, albo w najlepszym razie z całą arogancyą raczono ich trzystoma rublami rocznej płacy. Cóż więc pozostało im do zrobienia przy braku środków materyalnych, które już wyczerpali na kształcenie się specyalne? Nie pozostało im nic więcej jak tylko opuścić kraj i szukać szczęścia do pracy czy to w Cesarstwie, czy za granicą, gdzie ich niewątpliwie lepiej ocenią, gdzie ukształceni polacy posiadają opinje zdolnych pracowników. Znamy nazwiska inżenierów, którzy w początkach już zawodu swego dobili się odpowiedniego i zaszczytnego stanowiska nietylko w Europie ale i w Ameryce. Podczas gdy dla swoich nie ma w kraju chleba pierwszorzędne posady inżenierskie przy fabrykach naszych obsadzone są germańskiemi przybyszami, mniej zdolnemi od naszych a dziesięciokrotnie lepiej opłacanemi. Moglibyśmy wymienić wszystkie pierwszorzędne fabryki w kraju naszym tak po obywatelsku (*sic*) rzecz pojmując, lecz ramy artykułu nie pozwalają nam szerzej się nad tem rozwodzić, co zresztą nie powinno być tajnem ogółowi naszemu.

W tem miejscu pragnęliśmy tylko zaznaczyć fakt dla przeciwstawienia go ignorancyi naszych krezusów. To samo zaznaczyć możemy z dziedziny innych prac społecznych. Spotykamy również młodych a wykształconych przemysłowców, kupców ekonomistów, ci ostatni szczególniej mimo tego iż dają się poznać z prac swoich ogółowi, mimo publicznego, okazania miary swych zdolności, nie mogą znaleźć odpowiedniej dla siebie pracy zarówno jak i tamci ręką macoszą bywają odpychani. Omyliłby się bardzo ktoby mniemał, iż wymagania ich są wygórowane. Ciężkie bowiem kryzys jakie przechodzimy w ostatnich czasach, nauczyło ich skromności w życzeniach i wytrwałości w przeciwnościach. Oni już mniej żądają aniżeliby im się należało, lecz i przy takim warunku kołaczą na próżno. Niepozostaje więc i tym nic więcej jak szukać losu tamtych. Również w całym ruchu ekomomicznym forytowani są Niemcy, którzy dorobiwszy się z naszą krzywdą majątku, wynoszą sporą część naszego mienia na zachód, śmiejąc się z niedołęztwa i ślepoty dobroczyńców swoich. Lecz cóż się stanie z przyszłością kraju jeżeli czoło młodej jego intelligencyi zmuszone będzie opuszczać go dla braku uznania we własnem społeczeństwie, podczas gdy kraj ten więcej jak którykolwiek inny potrzebuje głów zdolnych a stracić je ma przez ślepotę pewnych warstw społecznych. Szczególniej przecież młoda intelligencya przedstawia pewien kapitał na który społeczeństwo dało swój zadatek, a którego zwrot wraz z odpowiednim procentem ogółowi powróconym być winien. A jednak tej młodej intelligencyi dziwić się niepodobna jeżeli nie znalazłszy bytu u siebie szuka go u obcych, jeżeli w obec odepchnięcia przez swoich przyjmuje oferty zagraniczne—bo tam znajduje karyerę. Jeżeli młody człowiek nie posiada żadnego majątku, żadnych źródeł do życia, jeżeli praca i zdolności są jedyną materyalną podporą na której się opierać może, wtedy praca ta jest dla niego towarem, który nic słuszniejszego, że ofiarowywa żądającemu i więcej dającemu. Jest to zasada ekonomiczna a nieunikniona, która w takich okolicznościach znajduje zastosowanie dla siebie.

Jeżeli jednak kraj na tem traci, jeżeli taki bieg okoliczności zrodzić może niepowetowane klęski, jeżeli takowe mają być nieszczęsnym płodem tego idyotycznego *braku uznania* ze strony możnowładców drugiej grupy, jeżeli nakoniec odpowiedzialność za to wszystko na nich spaść powinna to zapytać należy dla czego tak jest? Przecież jak kraj tak i ci panowie mieniący się obywatelami tego kraju, niewątpliwie tylkoby zyskać mogli na uznaniu i popieraniu miejscowych zdolności. Zapewne... Lecz ci panowie tak jak w ogóle co do obowiązków społecznych tak w szczególności i na tym punkcie są innych aniżeli słuszność nakazuje przekonań. Formułując treściwie przyczyny w mowie będącego występku powiemy krótko, iż ci panowie w grubym obskurantyzmie i sobkostwie swoim są ignorantami zacnych usiłowań młodej intelligencyi dla tego:

1-o że większość tych panów odartą jest z wyższych obywatelskich popędów, 2-o że reprezentanci tej grupy wyznania mojżeszowego mimo szumnych deklamacyj o zlaniu się z ogółem w jednę społeczną całość, co jest rzecz naturalna fikcyą, protegują tylko swoich współwyznawców, 3-o że ciż współwyznawcy do niczego innego brać się nie chcą jak tylko do spekulacyek, handlu i lichwy, 4-o że germanizm zanadto nas zalewa, a cała ta druga grupa nietylko że nie przeszkadza temu, ale jeszcze sprowadza Teutonów, obsadzając nimi pierwszorzędne posady mimo niższego ich wykształcenia od naszych pracowników, 5-o że nakoniec idyotyczny fanatyzm tych panów do zdolności germańskich wyrodził brak zaufania w nasze zdolności i wytrwałość do pracy.

Są to główniejsze przyczyny oprócz wielu pobocznych, które razem wzięte składają się na tak płodny w smutne rezultaty, w mowie będący, *brak uznania*. Kto więc winien na kogo spada wyrok potępienia, kogo nakoniec powołać należy do rehabilitacyi?—jasno dowiedliśmy. Cóż więc czynić należy by uprzedzić smutne następstwa, ukoić złe, zażegnać burzę? Czyż mamy opuścić ręce i rozpaczliwie przyspieszyć własne konanie? Bynajmniej?

Do nas należy wzmacniać intelligentne czynniki, pokrzepiać je w wytrwałości, uzbrajać w cierpliwość, ażeby zdwojonemi siłami coraz bardziej przekonywać ślepych że są w błędzie, że brak uznania gubi interesa społeczne i przyszłość kraju, że zalew germański, który oni ułatwiają jest występkiem, że skoro ziomkowie nasi zyskują największe uznanie po zagranicami, muszą być sumiennymi i wykształconymi pracownikami, a stąd hańbą jest odpychanie ich od siebie.

Wytrwałym czynem, niezmordowanem słowem usiłujmy ich przekonać zedrzeć kataraktę z ich oczu, ukazać powinności obywatelskie. A jeżeli zatwardziali w swym występku i nadal

zatykać będą uszy na szlachetny głos prawdy, wtedy nic innego nie pozostaje jak zyskawszy uznanie po zagranicami kraju, energicznie zdwoić produkcyjne siły by szybkim krokiem doszedłszy do pewnego kapitału połączyć z nim szlachetną pracę swoich i wystąpić u siebie do otwartej konkurecyjnej walki.

ŚLADY ŻYCIA

Nadszedł tedy sezon letni, sezon upałów i nakoniec, że się tak wyrazimy, dla pewnych warstw społeczeństwa *sezon lazaroński*. Pod wpływem gorąca dziwnie leniwym, obez władniającym człowiek się staje. Wpływ ten rzec można, jest równoskutecznym na wszystkich — lecz nie wszyscy ulegać mu mogą.

I dla czegóż to? Wszak przecież nie ma nic słuszniejszego nadto, że po ciężkich trudach pracy odpocząć się godzi. Taki odpoczynek tem bardziej jest pożądanym, gdy słoneczko kochane zbytnio dopieka człowiekowi, który prędzej jak inną porą ulega znużeniu. Skończyły się tedy wybory do władz Towarzystwa Kredytowego, skończył się jarmark Ś-to Jański, skończyły się wyścigi konne i nad kochanem miasteczkiem naszem błysnęło lipcowe słońce, ażeby złotemi promieniami rozgrzać mury, pobudzić niemiłe wyziewy do niemiłej fermentacyi chemicznej i nakoniec wywrzeć ociężający wpływ na warszawiaków.

To wszystko razem wzięte stanowi niejako flagę, oznajmiającą przybycie w całej pełni tak zwanego *sezonu letniego*, t. j. sezonu *willegiatur* i wód zagranicznych.

Willegiatury i wody zagraniczne są to rzeczy, z których tylko pewne uprzywilejowane warstwy korzystać mogą tak jak i z samego sezonu letniego, mającego być niby chwilą wypoczynku po całorocznej pracy. Lecz jakaż tu ogromna przepaść między dwoma wyrazami! *ma być* a *jest*....

Z wypoczynku tego korzystają nie ci, którzy pracowali rok cały, lecz na prawdę ci, którzy po większej części próżnowali rok cały. Jeżeli na tym punkcie jest jaki wyjątek to bardzo mały. Z *willegiatur* więc i wód zagranicznych korzysta tylko tak zwany, jeśli się godzi użyć tej nazwy, cymes warszawski, który posiada elegancki przywilej próżniactwa i pieniążków. Ale ty biedny ludzie, ty warstwo pracowników, w pocie czoła na chleb zarabiająca, tobie niewolno odpoczywać, tobie niewolno marzyć o sezonie letnim, ty musisz się piec przy pracy a bądź kontent gdy ją dostajesz.

Tak, tak, moi mili czytelnicy nie zadziwi was zapewne, że z powodu sezonu letniego skromna ta uwaga wyrwała mi się z pod pióra. Uwaga ta może się nie jednemu niepodoba, lecz cóż z tego gdy zgodna jest z rzeczywistością.

Gdyby więc w miejsce zupełnego wypoczynku dano tém warstwom pracowników przez jeden miesiączek najgorętszy w roku, maleńką tylko ulgę, t. j. zmniejszenie liczby godzin tak np. o dwie lub trzy godzinki, to przynajmniej choć trochę zakosztowałyby sezonu letniego.

Lecz prędzej tygrys zmieni się w królika, prędzej ulice Warszawy będą jasno oświetlone gazem, prędzej kucharki nasze nie będą brały koszykowego, a dorożkaże warszawscy staną się tak poczciwi jak dorożkarze lwowscy, prędzej nakoniec właściciele domów dbać będą o wygodę lokatorów swoich, prędzej.:.. ale dosyć już, prędzej, powiadamy, to wszystko się spełni, aniżeli tamto nastąpi.

* * *

Ale co tu mówić o zmniejszeniu liczby godzin, kiedy właśnie znajdują się u nas takie branże czy kierunki pracy, w których w miesiącach letnich powiększają jeszcze liczbę godzin właśnie o trzy albo i więcej godzin dziennie. Temi dobroczynnemi chlebodawczyniami są instytucye ubezpieczeń, w których od miesiąca Maja rozpoczyna się sezon letni, a kończy się w Październiku. Sezon ten zwierzchnicy tych instytucyj obracają na smarzenie w ciężkiej pracy bez wytchnienia pracowników swoich od godziny 9-ej rano, do godziny 9-ej wieczór, w tym właśnie miłym sezonie letnim, dając im około godziny piątej jednę lub półtory godzinki wytchnienia. Rozumie się, że im nic a nic nie płacą za ten sezon letni. — Jużto przyznać trzeba, że w ogóle nigdzie, w żadnym kraju *biało-murzyństwo* tak nie kwitnie jak u nas. Nasi możnowładcy sfer handlowych i przemysłowych pilnie przestrzegają istnienia tej biednej kasty *białych murzynów*, których wyzyskują do odarcia ze skóry, jak to mówią, z powodu licznej konkurencyi tych pracownikow w dzisiejszych czasach. To są *unsere junge Leúte*, powiadacą nasi *nababowie ekonomiczni*, my im płacimy, nie za pewne tylko godziny we dnie, lecz za całe doby, nie za pewne dni w tygodniu, lecz za całe tygodnie i miesiące, dla tego też cały ich czas, bez najmniejszego wyjątku i najmniejszej rachuby, do nas należeć powinien — bośmy ich kupili.

To też kochany czytelniku we wszystkich tak zwanych kantorach i w ogóle biurach handlowych i wszelkiego rodzaju ekonomicznych znajdziesz w niedziele i święta *białych murzynów* schylonych nad biurkami...

Nadto nic więcej nie dodam, pozostawiając ten ważny przyczynek dla uczciwego badacza historyi cywilizacyi naszej przy końcu dziewiętnastego wieku wobec zniesienia niewolnictwa na wszystkich punktach cywilizowanego i niecywilizowanego świata, ku niezmiernemu zdziwieniu przyszłych pokoleń.

Ktokolwiekby cobądź w obronie *nababów* naszych pokusił się powiedzieć ze stanowiska teoryi konkurencyi, szeroko w ekonomiach politycznych obrabianej, odpowiedzielibyśmy mu np. w ten sens: i nie wódź się zacny panie na pokuszenie bronienia zimną doktryneryą teoryi ekonomicznych—wstecznego postępowania ciemiężycieli wobec ciemiężonych.

* * *

Nadszedł czas wakacyj szkolnych dla młodzi naszej, czas wypoczynku młodego pokolenia po całorocznem dosiadywaniu nad książką i upłynionych egzaminach ostatecznych.

Cóż to za chwile stanowcze te egzamina dla uczniów....

Ileż to niepewności, ileż oczekiwań poprzeda je, ileż strachu sprawia ich nadejście, a ile radości lub smutku spowodowywa ich zamknięcie.....

Każdy wiek ma swoje wrażenia, chwile radości i smutku. A to wszystko zależy od pokierowania nicią życia swego. Tak samo i wiek chłopięcy ma swoje wrażenia, swoje chwile radości i smutku. Kto się pokieruje i komu dopomogą w tem pokierowaniu, oraz kto chce słuchać rad i uwag starszych, ten w końcu reku szkolnego napotka miłe a nie smutne wrażenia — temu egzamin po całorocznej pracy nad książką lżejszym się okaże i straci pozory dwunastogłowego smoka, temu nakoniec przypadnie w nagrodę pracy promocya i pochwała zwierzchników szkolnych a zadowolenie rodziców i opiekunów.

* * *

Lipiec przyniósł nowości i w świecie dziennikarskim. I tak, „Przegląd Tygodniowy" otworzył rubrykę *Przeglądów Politycznych*, „Gazeta Polska" powiększyła swoje rozmiary—„Kuryer Warszawski" obiecał dodawać płatny dodatek polityczny w niedzielę i święta z powodu wojny Serbsko-Tureckiej. „Wiek" dodaje płatny dodatek p. t. Nowiny Niedzielne. Antrakt ukazał się już światu... Miała to być gazetka teatralna, dowcipem zaprawiana, lecz o dowcip tam trudno, za to chmarami płaskich konceptów. P. Józef Naimski dostał koncessyą na drugą gazetę teatralną p. t. „Goniec teatralny".

* * *

Mieliśmy w zeszłym tygodniu w „Dolinie Szwajcarskiej" prawdziwą biesiadę muzyczną wyprawioną przez p. Fliege'go i jego orkiestrę. Grano bowiem symfonię konkursową Dobrzyńskiego, za co należy się podziękowanie i szczery poklask p. Fliege'mu. Publiczność też dobre chęci zdolnego dyrektora i wzorowo prowadzonej przez niego orkiestry, oceniła należycie licznem zgromadzeniem się i rzęsistemi oklaskami powtarzanemi po odegraniu każdej części tego znakomitego utworu

Niech p. Fliege tak zawsze trafia do gustu publiczności naszej to będzie miał i krzesła zapełnione i uznanie publiki.

* * *

P. Feliks Ehrenfencht napisał pięcioaktową komedyą p. t.: „Fałszywy Kierunek". Komedya ta jest poważniejszego pokroju, bo dotyka jednę z ważniejszych kwestyj, na czasie bardzo będącej. Celuje przy tem wiernością typów miejscowych, siłą prawdy w kombinacyach budowy scenicznej i wypełnieniem warunków estetycznych. Przy tem cały odcień satyryczny pożytecznie tu skierowany przy uwzględnieniu żywości dyalogów i akcyi.

* *
*

W Alhambrze p. Texel sili się na wystawianie ogromnych i strasznych dramatów. Pomijamy niestowność sceny ogródkowej porywania się na rzeczy, którym niełatwo podołać i które na scence takiej tylko sparadyowanemi być mogą. Dowodem tego Poczciwy Łotr i Syn Piekła. Nic nie pomogą najlepsze nawet chęci nie jednego artysty, gdy wszystko, całe otoczenie postaci i sama scena dziwnie komicznie przedstawia się na takich dramatach. Zresztą dla ogródka potrzeba lżejszej strawy niż dramat i tragedya, potrzeba komedyi, wziętej z życia, lżejszego pokroju, któraby i ubawić i nauczyć mogła. Ale kiedy to ci panowie Dyrektorzy z Alhambry i Eldorado nie mają miary. Bo, albo dadzą jaką nędzną Offenbachjadę, jeszcze nędzniej wyegzekwowaną, albo też jakiś strasznie poważny i strasznie długi dramat. Ale o tem, co właściwie przedstawiać powinni, to ani myślą.—Pomijamy, jak już powiedzieliśmy, całą niestosowność tego kierunku, bo wolno p. Texlowi grać sobie Ofenbachjady i straszliwe dramaty, nikt mu tego zabronić nie może, ale mamy prawo domagać się od p. Texla, ażeby pozwolił porządnym ludziom, miłującym regularne życie, chodzić spać o godzinie najpóźniej 11-ej.

Bo wierzaj nam p. Texel, że to sensu najmniejszego nie ma, trzymać publikę do godziny pierwszej lub wpół do drugiej w nocy, jak to jest w zwyczaju u pana w Alhambrze. Gdybyś pan nie pozwolił na tak długie antrakty, bezwątpienia przedstawienie skończyłoby się o 10-ej godzinie. Ale pan jesteś innego zdania. I dla czego? Czy dla tego, żeby ktoś tam wypił kilka kufli bawara więcej? Co pana obchodzić to może? Zdaje nam się, że dyrektor dbać powinien o najporządniejszą publikę, a tej, nie idzie wcale o kilka więcej kufli bawara.

* *
*

— Na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych przybyły następujące obrazy: Henryka Piątkowskiego „Portret mężczyzny,“ Juliana Maszyńskiego „Szara godzina,“ Stanisława Masłowskiego „Owczarek przygrywający na skrzypcach,“ Władysława Maleskiego „Krajobraz,“ Władysława Szerner „Przed szynkiem na przedmieściu,“ Jana Rosena „Przy ognisku“.

* *
*

Panna Marya Deryng przyjechała już do Warszawy i pierwszy raz występowała w Sobotę na Warszawskiej scenie w tragedyi Szyllera p. t. „Intryga i miłość,“ w roli Ludwiki. Wstrzymujemy się nateraz od szczegółowego rozbioru jej gry, pozostawiając to na później, powiemy tylko w ogóle, że panna Deryng posiada znakomity talent jako aktorka. Również widzieliśmy panią Zimajer na deskach sceny Warszawskiej w roli pani Marcinowej w „Kawalerze marcowym“ i w roli Leona w „Grzeszkach babuni.“

Pani Zimajer znana publiczności Warszawskiej i prowincyonalnej z wystąpień swoich w truppie p. Trapszy, posiada talent do ról lekkich, wodewilowych i lżejszych komedyj. Można nie piąć się bardzo wysoko, na wyżyny bardzo seryo dramatyczne, a można być sympatycznym i wielkim nawet, w pewnym lżejszym charakterze ról. Dowiodła tego ś. p. Bakałowiczowa, która z takim wdziękiem dźwigała na swych barkach role wodewilowe i lżejszych komedyj, że nikt jej dotąd naprawdę zastąpić nie jest w stanie. Pani Zimajer ma talent i gra z wdziękiem; z pożytkiem więc dla sceny naszej pracować by na niej mogła. Zdaje nam się, że Dyrekcya Teatrów zaangażuje na stałe tę wdzięczną artystkę, która byłaby jeszcze wdzięczniejszą, gdyby się pozbyła maleńkiej prowincyonalnej szarży, od jakiej żadna prawie artystka prowincyonalna nie jest wolną, a co na dobre uwidocznia się dopiero na wielkiej scenie, gdzie więcej występuje poprawna emulacya i z której wzorów pani Zimajer niewątpliwie skorzysta.

* *
*

W dalszym ciągu rysu sprawozdawczego z agitującej się kwestyi założenia stowarzyszenia wzajemnej pomocy szwaczek, donosimy czytelnikom naszym, że na ogłoszony na 19 Lipca konkurs na napisanie najlepszej ustawy dla tegoż stowarzyszenia, złożono już sześć projektów. Projekty te są obecnie rozpatrywane, a w swoim czasie rezultat ogłoszony zostanie.

* *
*

W dniu 7 Lipca urządzoną była w Dolinie Szwajcarskiej zabawa kwiatowo-muzykalno-fajerwerkowa na korzyść „Przytuliska.“ Zadowolenie tłumnie zgromadzonej publiczności było wcale obiecujące a instytucya zyskała zapewne sporo grosiwa.

* *
*

„Pet, Wied.“ donoszą, iż zapadło postanowienie, mocą którego „summy wykupne“ za grunta włościańskie z dóbr skonfiskowanych w guberniach zachodnich Cesarstwa, będące dotąd w depozycie kass rządowych lub instytucyj kredytowych, wypłacane być mają pierwotnym właścicielom.

* *
*

Skorowidza Królestwa Polskiego, czyli spisu alfabetycznego miast, wsi, folwarków, kolonij i wszelkich nomenklatur w Królestwie Pols., wyszedł z druku zeszyt 5, który zakończa tom I i doprowadza pracę do litery M włącznie. Wydawca tego skorowidza p. Zimberg, zawiadamia przytem, że tom drugi zawierać będzie rubrykę sądową urządzoną podług nowej organizacyi sądownictwa, że nadto przygotował spis gmin, wykazujący: jakie w nich mieszczą się zakłady przemysłowe, ile jest ludności, szkół, stacyj pocztowych, jednem słowem wszystkie informacyjne wiadomości,

* *
*

I psy już otrzymują w nagrodę zasług medale.

Pewnemu psu imieniem *Mabel*, wiernemu towarzyszowi Liwingstona w podróżach jego do środka Afryki, który ciało zasłużonego pana swego odprowadził aż na brzeg morski, a obecnie znajduje się u porucznika Murphy'ego w Bombaju, Królewskie Towarzystwo Geograficzne w Londynie przyznało medal z napisem: „Mabel F. R. G. S.“ (litery F. R. G. S. znaczą: Członek Królewskiego Towarzystwa Geograficznego).

* *
*

Czasopismo „Przyroda i Przemysł“ zamieszcza w szpaltach swoich wyborną pracę professora Augusta Wrześniowskiego p. t. „Współbiesiadnicy i pasorzyty w państwie zwierząt.“ Jużto przyznać należy, że wspomnione pismo starannie jest redagowane.

Nadmienić przytem wypada, że nakładem redakcyi „Przyrody“ wyszły w przekładzie doktora K. Dobrskiego „Listy o fizyologii“ Karola Vogta, część I-sza, część II-ga opuści prasę w miesiącu Wrześniu, część III w Stycznin roku przyszłego. Całe dzieło kosztować będzie rs. 2, a obejmować ma druku 800 str. ze 113 drzeworytami w tekście. Znakomite to dzieło polecamy czytelnikom naszym.

* *
*

Nakładem i w drukarni instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie wyszła książka p. t. „Kurs nauki języka polskiego dla oddziału głuchoniemych, znajdujących się w powyższym instytucie.“

Książka ta, ułożona przez radę pedagogiczną instytutu, zatwierdzoną została przez kuratora okręgu naukowego warszawskiego.

DZIEDZICTWO LELGARDY

POWIEŚĆ NIEZNAJOMEGO AUTORA

przekład z angielskiego

L. Kaczyńskiej.

— Czyż ty widziałaś ducha? zapytałam bez ogródki, chcąc się nareszcie czegoś dowiedzieć.

Lelgarda poważnie na mnie spojrzała.

— Joasiu droga,—rzekła,—oświadczam ci uroczyście że jestem przekonaną iż widziałam: nie raz, nie dwa razy, ale wielokrotnie. Życie moje stało się nieznośnem; noce moje— o! dziwię się że jeszcze żyję i nie zwaryowałam po takich nocach!

Biedaczka drżała jak liść. Czułam że potrzebowała wypowiedzieć wszystko; odgarnęłam jej włosy z czoła i rzekłam z całą spokojnością na jaką zdobyć się mogłam:

— Opowiedz mi wszystko jak najdokłą-

dniej możesz, dziecię moję; wszystko się wyjaśni, bądź tego pewną.

— Chcę — chcę ci wszystko opowiedzieć, Joasiu. Obejmij mię mocniej — tak — o! jak ja kocham twoję drogą opiekuńczą rękę! Będziesz moję dłoń w twoich trzymała w chwili mego konania, nieprawdaż Joasiu? Nie opuścisz mnie do końca?

— Mów dalej, moja droga; przecież jeszcze nie umierasz.

— Ja sama nie wiem — zdaje mi się czasem że dłużej znosić tego nie potrafię; ale nie chcę umierać — drżę na myśl udania się do tego chłodnego świata ciemności gdzie— gdzie *oni* są — gdzie *ona* mieszka... O! słuchaj co za wiatr Joasiu!

— Mniejsza o wiatr moje dziecie, — rzekłam uspakajając ją—co się zaś tyczy śmierci—chociaż powinnaś pamiętać o tem że ona jest życiem—czemże jest śmierć jeżeli nie połączeniem się z naszą matką, z twoim ojcem— odejściem na łono wszechmocnego, dobrotliwego wspólnego nam Ojca?

— A dolina cieniów a król śmierci? Te słowa mają swoje znaczenie, Joasiu. Ale bądź tylko cierpliwą, usłyszysz wszystko. Czy przypominasz sobie ten dzień kiedyśmy oglądały hebanową szafeczkę i widziały jej portret? ten dzień kiedy pani Bracebridge opowiadała nam smutną historyą biednej miss Hildy?

— Wiem—i pamiętam też jakeś mnie nazajutrz rano obudziła o niezwykłej godzinie.

— Pytałaś mi się wtenczas czym źle spała. Otóż ja ci teraz opowiem uroczyście i wiernie historyą owej nocy okropnéj.

— Mów biedaczko moja — słucham cię uważnie.

— Położywszy się do łóżka zasnęłam wkrótce—nie wiem jak długo spałam—trudno nawet powiedzieć żem się obudziła — dosyć że odrazu usłyszałam płacz — ale tak straszny, tak żałosny, tak rozdzierający płacz, że serce we mnie zmartwiało.

— Moja kochanko, pani Bracebridge opowiadała ci o owych strasznych historycznych płaczach miss Hildy—miałaś głowę nabitą tą smutną historyą, i oto wszystko.

— Nie przerywaj mi. Wkrótce oczy moje uderzyło jakieś światło, nie umiem powiedzieć czy od lampy, od ognia, czy z okna, dosyć że przy jego blasku dojrzałam wyraźnie postać stojącą przy mem łóżku; nie mogę sobie przypomnieć jak była ubrana, pozostało mi tylko wrażenie jakiegoś luźnego odzienia jasnej barwy; ale twarz! o, wierz mi Joasiu, nie tworzę sobie urojonych mar; była to ta sama twarz jaką widziałaś na portrecie miss Hildy, tylko daleko starsza, blada, wycieńczona i łzami zalana — twarz wyrażająca tak straszną rozpacz, że gdybyś raz tylko na jawie taką twarz ujrzała, przez całe życie stałaby ci na oczach.

— Na szczęście widziałaś ją, tylko we śnie, jedyna moja: i nie trudno odgadnąć przyczynę która ten sen wywołała. I to wszystko?

— Bodajby tak było! To com ci opowiedziała nie wydaje mi się snem gdy o tem pomyślę; ale co potem nastąpiło jest jeszcze dziwniejsze. Zdawało mi się że mię jakaś siła przenosiła przez ciemne galerye i po zimnych schodach. O! tego ci już nie potrafię wytłumaczyć! Sama sobie z tego sprawy zdać nie mogę. Ja to wszystko cierpiałam, ja czułam zimno, boleść i straszną trwogę; a jednak to nie byłam ja, tylko inna istota i ja litowałam się nad tą inną istotą—tą inną, która była mną i nie była mną.

— Senne mary.

— Nazwij to sobie jak zechcesz. Miałam jak mi się zdawało całą przytomność, lecz zmieniła się widownia. Stałam przed hebanową szafką. Przypominasz sobie żem zaraz powiedziała iż mi się zdaje jakoby tam musiała być jakaś skrytka?

— Pamiętam.

— Otóż, ta skrytka otworzyła się za dotknięciem — mojem, czy tej drugiej istoty— i coś tam się znalazło, i cóś mi powiedziało. Nie jednę godzinę spędziłam na próżnych usiłowaniach przypomnienia sobie tego — niepodobna — i to mię niewypowiedzianie męczy. Jedno tylko zdanie brzmi bezustannie w mych uszach rozpaczliwym jękiem. „Pamiętaj, gdy przyjdzie czas, że krzywda nigdy na dobre wyjść nie może.

— I na tem się skończył twój sen?

— Kończy się zawsze niewyraźnem uczuciem zimna i utrudzenia. Znika widzenie, czy marzenie, jeżeli wolisz tę nazwę i pierwszą rzeczą która następnie zmysły moje uderza, jest poranek.

— Więc to ci się więcej niż raz przytrafiło?

— Czy więcej niż raz? Prawie każdej nocy! Joasiu—tu się zawahała nieco — dziwnem ci się wydaje moje upodobanie w panu Seymourze Kennedym. Czy wiesz jaka jest tego przyczyna? On posiada władzę odgadnienia ducha.

— Jak to rozumiesz?

— Tak że nigdy nie jestem niepokojoną pierwszej nocy po jego odwiedzinach a czasem i tej która je poprzedza. Powiedz, nie jestże to szczególnem? On mi się rzeczywiście nie podoba; nie odpowiada bowiem wcale ideałowi doskonałości jaki sobie moja wyobraźnia utworzyła; ale jakkolwiek bądź, ten człowiek musi być przeznaczonym aby losem moim przeważnie zawładnął bo inaczej dla czegóżby miałby ten dziwny wpływ na ścigające mnie przekleństwo?

— Przekleństwo!—Lelgardziu, to zbyt przesadzone wyrażenie! Te marzenia są objawem złego stanu zdrowia i należało ci od razu o nich powiedzieć.

Lelgarda podniosła się i stanęła przedemną, sama podobna do widma ze swą bladą twarzą i w białem odzieniu.

— Joanno,—rzekła—pozwoliłam ci nazwać to wszystko marzeniem, ale ja *wiem* że to nie jest sen, nie urojenie. Jest rzeczywiście *coś*, co nocą mój pokój nawiedza.

Jej głos, wyraz głębokiego przeświadczenia, zresztą wspomnienie na gadaniny służących, to wszystko krew moję lodem ścięło. Jakkolwiek nie jestem ani przesądną ani rozbujałej wyobraźni i w duchy nie wierzę, potrzebowałam wielkiej mocy nad sobą żeby spokojnie zapytać Lelgardy jaki był powód tego jej mniemania.

— Co wieczór zamykam mój pokój,—mówiła, i co rano znajduję go zamkniętym; a jednak przekonywam się że ktoś był w moim pokoju. Zawsze stawiam świecę na tem krześle przy łóżku, a często znajduję krzesło odsunięte, a świecę i zapałki odstawione na stół. Jeszcze jedno: zawsze żartowałaś z mego zwyczaju stawiania trzewików tuż jeden obok drugiego, który to zwyczaj do dziś dnia zachowałam—otóż, często znajduję je rozsunięte, jak gdyby ktoś przy niepewnem świetle probował nogi w nie wsadzić.

— Cielesny to więc jakiś duch, sądząc z tego co mówisz, Lelgardo.

— Czy przypuszczasz że ktoś sobie ze mnie żartuje? Któżby mógł być tak szatańsko złośliwym? Nadto, jakże mi wytłumaczysz te wszystkie widzenia o hebanowej szafeczce, o jej kryjówce, które mnie nawet na jawie prześladować nie przestają? Przysięgam ci Joasiu że nigdy się ich pozbyć nie mogę, wyjąwszy kiedy pan Kennedy tu jest. On jest tak rozumny i tak umie zająć swoją rozmową, tak mnie czasem zabawi, a czasem rozgniewa swemi dowodzeniami, że o wszystkiem zapominam.

— I w tenczas żadnych nie masz widzeń? Ukochana moja, nie jestże to dowodem że to wszystko jest po prostu grą rozbujałej wyobraźni?

— Ja sama tak w siebie wmawiałam—prawie już w to uwierzyłam. Ale w tem zwróciły moję uwagę nieporządki popełniane w moim pokoju. Daj pokój Joasiu; darmo walczyć przeciwko oczywistości. Jestem skazaną na to tajemnicze prześladowanie—na to *nawiedzenie*, bo inaczej tego nazwać nie można. Powiedz tylko, dla czego dzieckiem jeszcze będąc nie mogłam tu wytrzymać? co mię o mało nie przyprawiło o śmierć lub o szaleństwo?

Mówiąc to biedna moja siostra klęczała przedemną i wlepiała we mnie swoje wielkie tęskne oczy, z wyrazem nieopisanej trwogi, do zwalczenia której sił mi już nie stawało.

— Wyjedziemy stąd Lelgardo, — zawołałam;—jesteś bogatą, najdroższa moja, niepotrzebujesz koniecznie pozostawać w miejscu które ci nie służy. Jedźmy do Włoch, jedźmy do Rzymu, odwiedzimy tam naszego dawnego przyjaciela Harrego Goldie.

Do tego już przyszło, że sama tę myśl podsunąć musiałam! Z przyjemnością widziałam że twarz jej powlokła się lekkim rumieńcem, i oczy do naturalniejszego powróciły wyrazu.

— Tak, — rzekła,—z przyjemnościąbym to uczyniła. Szczęśliwąbym była—ale—ale sądzę że powinnam tu pozostać; tu jest mój dom, tu mam obowiązki.

— Pierwszym twoim obowiązkiem jest starać się odzyskać zdrowie i siły, najdroższa moja.

— Może i masz słuszność; ja czuję że jestem z każdym dniem słabszą. Nie mogę już zmęczeniem twardego snu pozyskać; a ty— o mój Boże! ty Joasiu dziwisz się że ja się lękam śmierci? Pomyśleć tylko, że mam zostać sama mieszkanką tego strasznego świata duchów!

— Przestań Lelgardziu, nie mówmy już dziś o tem. Tej nocy będziesz spała w mych objęciach, jak to nieraz bywało w dziecinnych latach twoich. Pójdź—pomodlimy się razem

i położymy się spać; a upewniam cię że niegodziwe duchy dobrze się namyślą zaczem się poważą przyjść dokuczać mojemu dziecięciu spoczywającemu pod opieką jego wiernej Joanny.

Udało mi się wywołać uśmiech na usta Lelgardy, ale muszę przyznać że pomimo całej mojej sztucznej brawury, czułam się mocno zaniepokojoną. Lelgarda zmęczona i osłabiona, wkrótce usnęła mocno z głową opartą o moje ramie, czując się bezpieczną pod moją opieką; lecz ja przez całą noc ani oka nie zmrużyłam, tylko słuchałam wycia wichru, plusku deszczu o szyby, i drżałam za każdym szelestem, słysząc w każdem skrzypnięciu niedomkniętego okna lub drzwi, tajemnicze kroki widm dręczących moję ukochaną siostrę.

ROZDZIAŁ VIII.

Tajemnica biednej miss Hildy.

Jasny dzień już się przeciskał przez szpary zamkniętych okiennic, gdy Lelgarda otworzyła oczy, a ożywione i weselsze ich spojrzenie rozradowało serce moje.

— Tak jest,—rzekła odpowiadając na moje troskliwe pytanie,—wistocie doskonale spałam. Zdaje mi że tylko co położyłam się do łóżka. O! najdroższa moja Joasiu! jakiemże ty błogosławieństwem jesteś dla mnie!

— I ten niezgrabny duch nie zaglądał tu dzisiejszej nocy,—dodałam wskazując na stojące przy łóżku pantofelki;—wszystko jest na swojem miejscu; miejmy nadzieję że raz na zawsze wygnany został.

Postanowiłam wszelako wywieść na jakiś czas Lelgardę z Athelstanu. Muszę przyznać że sama szczerze pragnęłam wydostać się ze starego zamczyska; gadaniny służących, w połączeniu z tem co mi opowiedziała Lelgarda tak mię napoiły myślą że się coś działo nieprawidłowego, iż nieraz drgnęłam a nawet krzyknęłam bez uzasadnionego powodu do przestrachu. Przeminęło jednak kilka dni i nocy zupełnie spokojnie. Postanowiwszy nie zostawić Lelgardy ani na jednę noc samej w Athelstanie, kazałam sobie słać w jej pokoju, i miałam to szczęście że ją każdego rana widziałam świeższą i raźniejszą. Przestała chodzić do miss Hildy pokoju, i szczerze byłam zła na panią Bracebridge gdy jednego popołudnia, krótko przed dniem na nasz wyjazd przeznaczonym, stara gospodyni wezwała ją aby przyszła dać swoje zdanie w kwestyi wyboru materyi na nowe pokrowce i firanki, która mogła była wybornie poczekać aż do naszego powrotu.

Lecz nie łatwo było pozbyć się pani Bracebridge; ułożyła sobie że podczas naszej nieobecności wszystkie dziewczęta zasadzi do szycia; rozgadała się więc pokazując różne próbki perkalów, a Lelgarda potakiwała jej oglądajac się jednocześnie w około siebie tym wylęknionym wzrokiem którego miałam nadzieję że się już pozbyła. Starałam się o ile możności prędzej załatwić się z poczciwą starowiną, a gdy odeszła chciałam zaraz siostrę zabrać do salonu; lecz ona, jakgdyby nieodpartą siłą przyciągnięta, poszła do hebanowej szafeczki, otworzyła ją, i znowu zaczęła dotykać i przyciskać palcami na wszystkie strony z niespokojnem spojrzeniem dziecięcia męczącego się nad zagadką.

— Nie podobna tego znaleźć—wyszeptała.

— Jutro mamy Niedzielę — rzekłam niby słów jej nie słysząc;—będzie tu zapewne pan Seymour Kennedy. Zadziwi go nasz niespodziany wyjazd.

— Piękną ma pogodę na swoję podróż, — zauważyła zamykając szafeczkę, i powróciłyśmy do salonu.

Téj samej nocy ocknęłam się nagle, z uczuciem nie naturalnego przebudzenia, z piersią uciśnioną jakąś niewyraźną trwogą. Łóżko moje stało wprost drzwi—i te drzwi—te drzwi które własną ręką zamknęłam—otwarte były szeroko na ciemny zewnętrzny korytarz. Przyszła więc ta nocna mara—to widmo tajemnicze—obecność jego i mnie się nakoniec objawiła. Przy bladem świetle nocnej lampki wstałam ostrożnie, i podeszłam do łóżka Lelgardy aby zobaczyć czy się także nie obudziła. Łóżko mojej siostry było próżne!

Nigdy nie zapomnę uczucia szalonej, bezrozumnej trwogi jaka mię w tej chwili przejęła. Czyliż to straszne widmo posiadało władzę pociągnięcia jej za sobą i zgubienia? Czyliż takie rzeczy mogły dziać się w świecie którym rządzi Bóg dobrotliwy?

Te i tym podobne myśli przemknęły się po mojej głowie, podczas gdy zarzuciwszy cośkolwiek na siebie pośpieszyłam ku drzwiom. W tej chwili promień światła księżycowego wpadając przez szereg okien oświecił całą długość galeryi, a ja ujrzałam o kilkanaście kroków przed sobą, snującą się lekko białą niewieścią postać. Na zakręcie schodów postać stanęła jakby wahająca, i mogłam jej się lepiej przypatrzeć. Byłżeby to duch Hildy Atheling? Nie—to rozpaczająca dziewica z obrazu Harrego Goldie zstąpiła na ziemię—to Lelgarda.—Lelgarda sama we własnej osobie! chociaż marmurowo nieruchome jej rysy i martwy jej wyraz oczu, czyniły ją niepodobną do niej samej. Dzięki silnym nerwom i zdrowemu rozsądkowi, w jednej chwili pojęłam wszystko. Odezwało się chorobliwe usposobienie Lelgardy z czasów jej dzieciństwa, i przyzwyczaiła się znowu chodzić przez sen. Wszystko było wytłumaczone: białe widmo, nieład w sypialnym pokoju, otwierane i zamykane drzwi. W pierwszej chwili ulgi gotowa byłam rozśmiać się głośno, ale stłumiłam wszelki odgłos który mógł był przebudzić nagle moję siostrę z jej lunatycznego snu; stanęły mi bowiem w myśli ostrzeżenia lekarza przed laty dawane, że nagłe wstrząśnienie w takim stanie mogło ją przyprawić o śmierć lub obłąkanie.

Poszłam więc cichutko za nią, tak jak to kiedyś czyniłam, wstrzymując oddech, gotowa przyjąć ją w me ramiona i ukoić, gdyby się przypadkiem nagle zbudziła, wiedząc zresztą z doświadczenia z jaką jasnowidzącą ostrożnością umiała w takim stanie kroki swe kierować.

Zeszła lekko z szerokich, ciemnych schodów, i skierowała się prosto do pokoju miss Hildy. Wsunęłam się tam tuż za nią. Księżyc jasnym blaskiem cały pokój oświecał i mogłam wybornie każdy ruch jej widzieć. Zbliżyła się bez wahania do hebanowej szafeczki, otworzyła ją, wyciągnęła i odstawiła trzecią szufladkę po prawej stronie, poczem przesunęła palcami po drobnych kościanych wypukłościach, tworzących rodzaj ozdoby w około dziurki od klucza, wybrała jeden z takich guziczków które zupełnie były jednostajne, i zamiast go przycisnąć jak to zawsze czyniła na jawie, pociągnęła go silnie ku sobie. Został jej w ręku długi kołeczek z kościaną główką, a z góry odkryła się mała kwadratowa skrytka, rodzaj pudełka napełnionego papierami. Lelgarda wyjęła papiery, porozkładała jeden po drugim, patrząc ciągle przed siebie martwemi nic nie widzącemi oczyma; potem napowrót je poskładała, umieściła po kolei na swoje miejsce skrytkę, kołeczek i szufladkę, zamknęła szafeczkę, i powtórzyła monotonnym głosem dziecka uczącego się lekcyi której nie rozumie:

— Jeżeli ten dzień przyjdzie kiedykolwiek, zajrzę tutaj, i przypomnę sobie, że krzywda nigdy na dobre wyjść nie może.

Potem wyszła z pokoju, weszła na schody, przeszła przez całą długość galeryi, i nakoniec z wielkiem mojem zadowoleniem powróciła do swego pokoju, zamknęła drzwi, dawszy mi zaledwie czas wśliznąć się za nią, i położyła się spokojnie do swego łóżka. Ja przez ostrożność wyjęłam klucz z zamku i schowałam go pod poduszkę; potem ziębnięta do szpiku kości i z jednej strony silnie zaciekawiona, ale z drugiej znakomicie uspokojona, ułożyłam się także do snu.

— Czy pewną tego jesteś? Czy tak rzeczywiście było? — pytała mię z niedowierzaniem Lelgarda, gdym jej nazajutrz rano ukląkłszy przy jej łóżku opowiedziała całą nocną przygodę. A zarzuciwszy mi na szyję ramiona, i przyciągnąwszy ucho moje do ust swych, szepnęła:

— Czy jesteś pewna żem była sama? I zabobonna trwoga całem jej ciałem wstrząsnęła.

— Moja najdroższa, bądźże rozsądną nakoniec, — rzekłam z całą powagą na jaką zdobyć się mogłam, — wiesz przecie że to jest po prostu odnowienie dawnego przyzwyczajenia.

— Przyzwyczajenia które datuje się od pierwszej mojej tu bytności, Joasiu; ale powiedz tylko, jaka siła mogła mi wskazać sposób znalezienia owej skrytki której nigdy nie widziałam otwieranej?

— Jesteś pewną że jej nigdy nie widziałaś otwieranej? Przypomnij sobie naszę rozmowę owego wieczoru kiedyśmy pierwszy raz widziały pana Seymoura Kennedy. Ja zaczynam przypuszczać że jakieś niewyraźne wspomnienia pierwszej tu bytności kiełkowały ciągle w twym umyśle bez twojej własnej wiedzy i woli.

— Moja Joasiu, a ty sama jesteś pewną że ci się to wszystko nie śniło.

— To jest kwestya łatwa do rozwiązania— sprobuję nauczyć cię otworzenia tajemnej szufladki tak jak ty mię tego zeszłej nocy nauczyłaś.

Zadzwoniono na śniadanie pierwej nim się wybrałyśmy, i nie chciałyśmy przetrzymywać

służby dłużej jak tego wymagała konieczna potrzeba w poranek niedzielny: lecz zaraz po śniadaniu pospieszyłyśmy do hebanowej szafeczki. Muszę przyznać że zaczęłam sama o sobie powątpiewać gdym ujrzała pozorne niepodobieństwo istnienia tajemniczej skrytki, i Lelgarda już gotowa była żartować ze mnie, może właściwie w celu ukrycia lekkiego drżenia.

— To więc ma być ową kościaną główką, mówiła,—ten trzeci guzik po prawej stronie? Nie wierzę temu, Joasiu; nie podobna zająć go tyle żeby się dał pociągnąć—ach!....

Mała wypukłość zdała się z nadzwyczajną siłą wyskakiwać pod jej palcami i skoro wyciągnęła kołeczek, wypadło małe odkryte pudełko pełne poskładanych papierów.

— A co? czy mi się przyśniło? — zawołałam; lecz Lelgarda przerwała mi wydajac przeraźliwy krzyk, przy czem oczy zasłoniła ręką.

— Widzę—widzę teraz wszystko—mówiła bez tchu prawie—przypominam sobie wszystko. O! biednaż ja byłam dziecina! com wycierpiała! ile strachu i trwogi użyłam!

— Co się stało? Co sobie przypominasz?

— Tę szufladkę—ten guzik—tę skrytkę — nie byłoż to najłatwiejsze do zapamiętania dla dziecka? A sposób w jaki mi to pokazywano—to przerażenie! O nic w tem dziwnego że dostałam nerwowej gorączki — nic dziwnego że uciekłam: teraz wszystko sobie przypominam.

— Opowiedz mi więc to wszystko dziecię moje; tylko się uspokój i nie rozdrażniaj zbytecznie.

Wziąwszy w rękę papiery ze skrytki, Lelgarda mówiła:

— Nie wiem co one zawierają, i nigdy tego nie wiedziałam; ale teraz już wiem kto mię takiego strachu nabawiał w Athelstanie, była to ta nieszczęśliwa, płacząca, straszna kobieta, moja ciotka Hilda. Tak jest, ona to objawiała mi się w rzeczywistości, ona była mojem widzeniem prawdziwem, nie urojonem. Ona to przychodziła do mnie, ze swym okropnym płaczem, i budziła mię wśród nocy, i przeprowadzała mnie, biedne, wystraszone dziecię, tu do tej szafeczki, i pokazywała mi tajemnicę tej skrytki, i powtarzała mi stokrotnie te słowa o krzywdzie która nigdy na dobre wyjść nie może; i kazała mi przyrzekać że jeżeli będę kiedykolwiek panią Athelstanu to przeczytam to co się tu znajduje. Pamiętajże Joasiu, cokolwiekbądź zawierają te papiery, że ja ci to wszystko mówię przed ich czytaniem.

— Pokazuje się więc że nie miss Eteldreda a miss Hilda była twoją dręczycielką. Lecz ona przecie nie wstawała z łóżka czyli z sofy, Lelgardo; wszakże pozbawioną była władzy w członkach?

— Tak wszyscy mówili. O! widzę teraz wyraźnie ten pokój takim jakim go wówczas widziałam, i jej woskowej barwy twarz i ręce, i śnieżnej białości draperye na tej czerwonej sofie. To właśnie było najokropniejsze, widzieć ją leżącą przez cały dzień bez ruchu, a wśród nocy być nawiedzaną przez nią w tak straszny sposób; a potem ten jej rozdzierający płacz—o! ten płacz — jak ja mogłam ten płacz zapomnieć!

— Musiała być nieuleczoną dziwaczką albo zupełną waryatką, rzekłam nie czując już żadnej litości dla miss Hildy.

— Zobaczmy co ją do takiego stanu przyprowadziło. Zaczynam przypuszczać że się po części domyślam; — rzekła bledniejąc nieco Lelgarda. Rozłożyła pierwszy papier, rzuciła okiem na kilka wierszy które zawierał, to samo uczyniła z następnym, poczem podała mi je oba ze smutnym uśmiechem.

— Nie ma się czemu dziwić, — rzekła tylko.

Pierwszy z tych papierów był aktem ślubu zawartego przez Hildę Atheling z Henrykiem Hamiltonem w jednym z londyńskich kościołów; drugi, rokiem prawie późniejszej daty, był świadectwem chrztu drugiego Henryka Hamiltona, dopełnionego w pewnem nadmorskiem mieście zachodniej Anglii.

Wyszła nakoniec na jaw tajemnica życia Hildy Atheling.

ROZDZIAŁ VII.

Lelgarda chce nagrodzić krzywdę.

Nastała pomiędzy nami dwiema długa chwila milczenia. Ja z mojej strony doznawałam gorzkiego zawodu. Niechaj ci którzy nigdy nie zaznali ubóstwa litują się nademną żem się lękała do niego powrócić. Nie wstydzę się wyznać że sama myśl o tem dreszczem mię przejmowała — chociaż Bogu wiadomo żem nie nad sobą bolała.

— Może on już od dawna nie żyje — rzekłam nakoniec prawie mimowolnie, lecz podniósłszy oczy ujrzałam przed sobą stojącą Lelgardę z ożywionem spojrzeniem i zarumienionem licem — taką jakiej już od dawna nie widziałam, i pierwsze jej słowa trochę mię zadziwiły.

— Dzięki Bogu! — rzekła wesoło, a odpowiadając może na moje spojrzenie dodała: — tak jest, dzięki Bogu że tajemnica wyjaśniła się nakoniec; przykre uczucie które mię bezustannie dręczyło, ustało zupełnie.

Zwróciła się ku niedokończonemu portretowi który kazałyśmy zawiesić na ścianie, ku tej delikatnej łagodnej twarzy o słodkiem spojrzeniu która wzbudzała litość gdy się pomyślało o dalszem życiu biednej słabej istoty.

— Spoczywaj w pokoju! — rzekła uroczyście Lelgarda; — krzywda wynagrodzoną nakoniec zostanie. O jakże ja gorąco dziękuję Bogu że mi oszczędził tej zbrodni, tej niesprawiedliwości; ale teraz Joasiu, co czynić wypada?

— Pozostałe jeszcze papiery może dadzą jaką wskazówką w tym względzie, — sumienie zmusiło mnie odpowiedzić.

— Miejmy tę nadzieję.

I Lelgarda usiadłszy na niskim stołeczku rozłożyła na kolanach papiery wyjęte ze skrytki w liczbie dziewięciu do dziesięciu. Było pomiędzy niemi parę listów pisanych wprawną, męzką ręką, jak się zdawało od młodego małżonka, chociaż tylko pojedynczemi gloskami podpisane. Widocznem było że zacny i prawy człowiek; pociągnięty silniejszą od woli jego namiętnością, spełnił czyn który sam sobie wyrzucał. Nalegał błagalnie aby mu wolno było objawić swoje małżeństwo, usiłował zbyt lękliwą małonkę natchnąć odwagą i zachęcał ją do otwartego działania; były tam i wyrzuty samemu sobie czynione za rolę jaką w tej sprawie odegrywał, i wzgardliwe niemal odrzucenie powodów jakiemi się musiała zasłaniać młoda kobieta chcąca utrzymać związek ich w tajemnicy. Były następnie krótkie wskazówki co do jej pobytu w mieście nadmorskiem i co do przygotowań poczynionych na przyjęcie spodziewanego dziecięcia. Ostatni list, pisany już po urodzeniu syna, w chwili kiedy się wybierał w podróż do Szwajcaryi, kończył się następnemi słowy: „Kiedy utrzymujesz że wiadomość o naszem małżeństwie zabije twego ojca, nie mogę na to nic powiedzieć, ale skoro tylko minie to niebezpieczeństwo, ani jednej godziny czekać nie będę, i w obec całego świata upomnę się o moję żonę i dziecię: Nic dziwnego że list ten był łzami skąpany. Znalazłyśmy jeszcze inne listy, adresowane nie do miss Hildy, ale do *Niani* Oliphant; te pisane były dużemi głoskami i niewprawną ręką. Oznajmiały one o przybyciu dziecięcia które panią obchodzi,“ i odnosiły się do pewnych układów co do jego wygód i potrzeb, poprzednio już widać zawieranych. Był także smutnej treści papier — wycinek z Timesa zawierający opis nieszczęśliwego wypadku który pozbawił życia Henryka Hamiltona; nadto, paczka kwitów pod adresem pani Oliphant, każdy na summę 200 funtów szterlingów, widocznie płaconych rocznie za utrzymanie biednego chłopczyny. Ostatni z tych kwitów nosił datę odpowiadającą czasowi kiedy *Niania* i miss Hilda jednocześnie prawie żyć przestały przed niespełna dziesięcioma laty. Lelgarda z żywością wskazała na podpis: „Gedeon Hatterick,“ i na dole: „Coombe Farm, pod Holtyfreld.“

— Tego mi właśnie było potrzeba. Gdzito może być? Zapewne w Kornwalii lub w Devonshire. Poszukam w przewodniku Bradshava, i zaraz tam pojedziemy.

— Powoli; moja droga, — rzekłam widząc że zbyt jest podrażnioną aby mogła działać rozważnie i spokojnie, — musisz pierwej zasięgnąć rady prawnika zaczem jakiekolwiek kroki rozpoczniesz.

W tej chwili zapukano do drzwi i ukazała się w nich zadziwiona twarz pomywaczki która nam przypomniała żeśmy przy naszem zajęciu zaniechały niedzielnego nabożeństwa i że cała nasza służba była w kościele.

— Pan Seymour Kennedy, proszę pani, — rzekła dziewczyna, — ale nie byłam pewna czy pani jest w domu.

O! proś go, — zawołała z żywością Lelgarda, i pospieszyła na spotkanie gościa z rękami pełnemi jeszcze papierów.

— Pana mi właśnie było potrzeba, — rzekła ujrzawszy go, pan mi dasz radę której gwałtownie potrzebuję.

Probowałam ostrzedz ją napróżno: podała mu uprzejmie rękę, a on pozwolił sobie zatrzymać ją w swojej dłoni, tak że w ten sposób wprowadziła go do salonu. Nigdy jeszcze, niemiła dla mnie twarz jego, nie wy

rażała takiego zadowolnienia jak w tej chwili. Gniewałam się w duchu na Lelgardę za wrażenie jakie widziałam że sprawiała na nim jej uprzejmość.

— Jakżem szczęśliwy żem tu przybył, — rzekł tym słodziutkim głosem który posiadał własność drażnienia mnie. Spodziewałem się spotkać panią jak zwykle na łące: gdy mię ta nadzieja zawiodła, ogarnęła mię niespokojność, i pozwoliłem sobie przyjść tu aby się dowiedzieć o zdrowiu pani.

— Sama Opatrzność pana zesłała! — rzekła moja wrażliwa siostrzyczka.

— Winienem więc choć raz złożyć dzięki Opatrzności, — odpowiedział z wyrazem który oziębił trochę jej entuzyastyczne usposobienie i rumieniec wywołał na jej lica, co widząc pan Seymour Kennedy rzekł z wyszukaną grzecznością: — Chciejże mi pani teraz powiedzieć w czem jej służyć mogę? sądzę iż nie potrzebuję pani mówić jąką mi to sprawi przyjemność, tu rzucił na mnie spojrzenie które miało znaczyć: — nie potrzebujemy tu ciebie — na co ja równie znaczącem spojrzeniem odpowiedziałam — nie ruszę się stąd.

— Czytaj pan to! rzekła Lelgarda wręczając mu swoje papiery. Ja uważnie śledziłam wyraz jego twarzy podczas gdy je przeglądał jeden po drugim; ale zbytecznem byłoby dodawać że moja przenikliwość na nic się nie zdała. Pan Seymour Kennedy najobojętniej w świecie rozwijał wszystko z kolei, potem równie obojętnie poskładał przeczytane papiery, i rzekł tylko:

— W istocie, rzecz to — nader nieprzyjemna.

Pomimo żem ją sama poprzednio uznała za „nader nieprzyjemną,“ słowa jego wydały mi się obrażającemi.

— Jak pan sądzisz, co jej czynić wypada?— zagadnęłam dosyć porywczo.

— Należy się spodziewać że to odkrycie nie nabawi panią żadnych kłopotów. Nie mąsz żadnego dowódu czy ten młody człowiek żyje; a gdyby nawet i żył, to prawdopodobnie nie zna swego pochodzenia. Do niego należy odezwać się ze swemi prawami, na których poparcie zresztą może nie mieć żadnych dowodów.

Przez ten czas Lelgarda odzyskała całą władzę nad sobą; przemówiła ze spokojną godnością:

— Mojem już staraniem będzie usunąć te wszystkie trudności; chodzi tylko jakim sposobem go wynaleźć?

— Pani odwołałaś się do mojej rady— rzekł na to pan Kennedy; — moją radą jest żadnych obecnie kroków nie przedsiębrać. Zaczekaj pani, namyśl się, w każdym razie nie ma z czem się śpieszyć.

Lelgarda podniosła dumnie głowę.

— Zdaje mi się że pan nie rozumiesz o co tu chodzi — rzekła.

Pan Kennedy uśmiechnął się na to przypuszczenie, i odpowiedział jak gdyby miał do czynienia z kapryśnem dziecięciem:

— Zechciej mię więc pani objaśnić. Czego właściwie nie rozumiem?

— Pan nie pojmujesz tego że każda chwila jaką ja tu przepędzam jako pani tego zamku, powiększa ogrom krzywdy już i tak zbyt długo trwającej. Nie ma się z czem śpieszyć? A ja od tylu miesięcy używam tego co nie jest moją własnością. O! gdybyś pan wiedział!...

Zamilkła—zarumieniła się widocznie wzruszona — pan Seymour Kennedy nie był człowiekiem któremuby mogła powiedzieć to wszystko co wycierpiała.

— Pomówimy o tem gdy pani będziesz spokojniejszą — rzekł tym samym słodziutkim głosem;—ja tu zapewne będę znowu za parę tygodni i—nie potrzebuję pani mówić z jaką przyjemnością gotów będę na jej usługi. A tymczasem niech mi wolno będzie upraszać pani abyś nie przedsiębrała przedwcześnie żadnego stanowczego kroku.

Lelgarda nic nie odpowiedziała. Wkrótce też potem pan Kennedy pożegnał nas zrobiwszy na mnie takie wrażenie jakoby bez uchybienia w niczem pozornej grzeczności stał się jednak obrażającym. Nie można mu było zarzucić ani jednego słowa, ani spojrzenia; a jednak ja pewną byłam dwóch rzeczy—że przypisał serdeczne przyjęcie Lelgardy temu iż się uważała za zubożałą, i że nie był człowiekiem któryby się zajął ubogą dziewczyną.

— Nie chcę już mieć do czynienia z żadnemi prawnikami! — zawołała po jego odejściu zniecierpliwiona Lelgarda. — Pan Graves? zapewne, pana Gravesa może trzeba się będzie poradzić; ale tymczasem same potrafimy działać Joasiu. Zaraz jutro pojedziemy do Hollyfieldu.

I nie tracąc czasu zajęła się przygotowaniami do podróży, rozpatrując karty kolei i wydając rozporządzenia nie mogącej wyjść z podziwienia pani Bracebridge. Bo też nikt, widząc ją tak czynnie zajętą i z taką przyprzytomnością wydającą rozkazy, nie byłby w niej poznał znękanej i cierpiącej dziewczyny, która poprzednio snuła się milcząca po obszernych komnatach i galeryach Athelstanu. Ani na chwilę nie upadła na duchu. Udałyśmy się na popołudniowe nabożeństwo a podczas gdy mój niesforny umysł buntował się potajemnie przeciwko wyrokom Opatrzności, widziałam jej śliczną twarzyczkę opromienioną wyrazem pobożnej a szczerej wdzięczności. Po wyjściu dopiero z kościoła lekki odcień smutku zdawał się ją ogarniać. Dnie już były dłuższe i zaczynało się dopiero zmierzchać. Wzięła mię pod rękę i w milczeniu poprowadziła mię ścieżką przez pole, którą wyszłyśmy na szczyt pagórka panującego nad całą okolicą. Zamek Athelstan rysował się czarną massą na tle szarzejącego nieba. Czerwone światło okien mieszkalnych pokoi wesoło świeciło wśród zapadającego zmroku, krowy rycząc dążyły po wydojeniu do swojej zagrody, na ogrodzie widziały prace do jego upiększenia przedsięwzięte. Lelgarda spojrzała na mnie z tęsknym uśmiechem.

— Poznane i pożegnane! rzekła. Krótkie było moje panowanie, nieprawdaż?

Nie mogłam jej nic odpowiedzieć. Czułam potrzebę spędzenia jej gniewu na kogokolwiek i z niechęcią wspomniałam na biedną słabą istotę, której samolubne niedołęztwo zgotowało ten spadek wątpliwości i zawodów pełen, która była obłudną siostrą, złą córką, która przez występną słabość nie śmiała się przyznać do kochającego męża i wyrzekła się własnego dziecięcia.

— Niech jej Bóg to wszystko przebaczy! rzekłam tonem nie zupełnie zgodnym z tem chrześcijańskiem życzeniem.

Lecz Lelgarda odpowiedziała z uczuciem:

— Tak, Bóg jej przebaczy! — poczem nastała długa chwila milczenia.

Lelgarda pierwsza je przerwała.

— Joasiu, — rzekła, — pamiętasz jakeśmy tu pierwszy raz przyszły dla spojrzenia z tej wyniosłości na moję nową posiadłość?... A! Harry Goldie może zostanie wielkim artystą, ale nie odwiedzi nas już tutaj. Pójdźmy do domu—dodała zaraz i przez cały wieczór pozostała milczącą.

Usiadła na kobiercu przed kominkiem, jak to nieraz czyniła i wpatrywała się w ogień, dopóki jej nie zapytałam czy swe przyszłe losy zeń wyczytać usiłowała.

— Nie, — odparła z uśmiechem. — Myślałam o tem jak próżną rzeczą są marzenia naszej wyobraźni.

— Święta prawda, moje dziecko.

— Szczególnie wtenczas, kiedy się odnoszą do drugich. Najczęściej to co układamy dla kogo nie zadowolniłoby go.

— Zapewne.

Znowu nastała długa chwila milczenia, poczem Lelgarda rzekła nagle, jak gdyby przechodząc do zupełnie odmiennego przedmiotu.

— Mnie się zdaje że mężczyzni szczególnie nie lubią zaciągać obowiązków wdzięczności.

— Lubią jednak pieniądze — z jakiegokolwiek one źródła pochodzą, — odpowiedziałam.

— Czy tąk? A ja sądzę że ludzie ze szlachetnem usposobieniem nie ubiegają się o posażne żony.

— Czy masz na myśli pana Seymoura Kennedy?—zapytałam mimowolnie.

Lelgarda spojrzała na mnie zdumiona.

— Pana Seymoura Kennedy? Bynajmniej. Nie miałam nikogo wyłącznie na myśli.

W milczeniu przepędziłyśmy resztę wieczoru.

Nazajutrz rano wcześnie wyjechałyśmy z domu, nocowałyśmy w drodze i następnego dnia przed południem znalazłyśmy się w miasteczku Catcomte, stacyi najbliższej od wioski Hollyfield.

ROZDZIAŁ X.

Poszukiwania.

Calcombe nędzną jest mieściną. Po wielu staraniach dostałyśmy zaledwie rodzaj wózka jednokonnego, z woźnicą w manczestrowym kaftanie i okrągłym kapeluszu. Mieszkańcy stawali na ulicy, przypatrując nam się jak nadzwyczajnemu jakiemuś zjawisku. Lelgarda jednak o wszystkiem zapomniała, prawie nawet o celu swej podróży, na widok ślicznego krajobrazu, który się zaraz za miastem przed oczyma naszemi rozwinął.

Zrazu jechałyśmy ciągle pod górę — niebawem ujrzałyśmy pa prawej stronie drogi lesi-

ste wzgórza, a po lewej spadzistość równie zagajoną, kończącą się wązkim lecz bystrym strumieniem, którego srebrzyste wody połyskiwały wesoło wśród świeżej kwietniowej zieleni. Ciągle dążąc pod górę dostałyśmy się nakoniec na wysokość, z której widok rozciągał się na całą okolicę i sięgał aż do morza; poczem zaczęłyśmy zjeżdżać na dolinę,

— Nie widać tu blizko żadnego domu, — rzekła Lelgarda, — a jednak musimy już być blizko Kollyfieldu.

Zaledwie tych słów domówiła, na zakręcie drogi otworzył się widok na zacienioną dolinę, w której kilkanaście domków ocieniało wiejski kościołek i probostwo. Trudno było rzeczywiście wynaleść ustronniejszy kątek dla ukrycia w nim tajemnicy. Nasz woźnica dotknął ręką kapelusza i zapytał dokąd ma jechać.

— Na probostwo, — odpowiedziała stanowczo Lelgarda.

Była bardzo blada, usta miała zaciśnięte, ale pomimo widocznego rozdraźnienia nerwowego doskonale nad sobą panowała. Ja z mej strony doznawałam takiego uczucia jak gdyby mię kto zimną wodą oblewał.

Probostwo stało tuż przy murze cmentarnym: był to nizki domek słomą kryty i bluszczem obrosły. Wysiadłyśmy przy furtce ogrodowej i poszłyśmy prosto ku drzwiom. Rumiana jasnowłosa wiejska dziewczyna spojrzała na nas wielkiemi zdziwionemi oczyma i zdawała się wahać z odpowiedzią gdy Lelgarda zapytała jej, czy możemy się widzieć z Jego Wielebnością, lub z panią, żoną jego— dodała, nie wiedząc nazwiska duchownego.

— Nigdyć on żony nie miał — odrzekła na koniec dziewczyna, poczem zawróciwszy do drzwi zapukała i głośno zawołała: — Proszę pana, przyszły tu do pana dwie panie!

Sądzę że Lelgarda zaczynała doświadczać, że poszukiwania jej miały swoję nieprzyjemną stronę; nie tracąc jednak przytomności umysłu stała wyprostowana z podniesioną głową, ze spokojnem, pewnam siebie wejrzeniem, którem umiała najzuchwalszym nakazać poszanowanie, Obiedwie wszelako, jak sądzę, doznałyśmy uczucia ulgi, gdy w duchownym, który na wezwanie służącej wyszedł ze swego pokoju, ujrzałyśmy poważnego, siwowłosego gentlemana miłej i ujmującej powierzchowności.

— W czemże mogę paniom służyć? Czy panie pozwolą? — rzekł, zapraszając nas uprzejmie; i weszłyśmy do jego pokoju, prawdziwego kawalerskiego przybytku, pełnego porozrzucanych w nieładzie książek i papierów. Gospodarz nasz wydawał się jakoś zakłopotany, i kto wie czy nas nie wziął za strojne żebraczki.

Lelgarda głos zabrała zrazu nieśmiało, potem coraz odważniej.

— Przybywam dowiedzieć się, czy pan nie będziesz mógł udzielić mi wiadomości o pewnem dziecięciu, raczej młodzieńcu, czyli młodym człowieku (tu rektor spojrzał na nią zatrwożony), który miał być wychowany przez rodzinę nazwiskiem Hatterick, w miejscowości zwanej Coombe Farin, należącej do pańskiej parafii?

— O biednym Henryku Hamiltonie? — rzekł, patrzac na nią z żywem zajęciem duchowny.

Lelgarda na jego spojrzenie jeszcze wyrazistszem odpowiedziała.

— Tak jest. O niego mi właśnie chodzi. Gdzież on jest? — pytała, jak gdyby gotową była biedz naprzeciwko niego.

— Gdybyś pani mogła mi to powiedzieć, uczyniłabyś mnie nader szczęśliwym, — odrzekł staruszek z uczuciem.

— Czyby umarł? — wyrwało mi się prawie mimowolnie i głosem niezbyt zapewne zastosowanym do okoliczności, gdyż oboje spojrzeli na mnie zdziwieni.

— Nie, — odparł duchowny — nazwiskiem Beusan jak się później dowiedziałyśmy — mam przynajmniej nadzieję że nie, ale gdzie się znajduje, i jak mu się powodzi, Bóg jeden to wie Bóg który się opiekuje sierotami, dodał ciszej i jakby sam do siebie.

— Chciej mi pan powiedzieć wszystko co wiesz o nim, — rzekła Lelgarda. — Wierz mi pan że nie powoduje mną próżna ciekawość dodała z pewną godnością.

Zacny staruszek uśmiechnął się dobrotliwie i z życzliwem zajęciem spojrzał na jej młodziutką twarzyczkę.

— Więc go pani znasz? — zapytał.

— Nie, — odparła rumieniąc się lekko, lecz sądzę że jest moim krewnym, zdaje mi się że wiem kim on jest. Dopóki go nie wynajdą, będę bardzo, bardzo nieszczęśliwą.

— Pani wiesz kim on jest! — wykrzyknął z żywością staruszek, a poskramiając swe wzruszenie dodał: — ale widzę że pani chciałabyś usłyszeć odemnie to co ja o nim powiedzieć mogę zaczem mi swoję historyą opowiesz. Przybyłem do tej parafii będzie temu lat — zaraz — około dwudziestu czterech, w owym czasie młody Henryk Hamilton był małym chłopczykiem, i chował się na folwarku pod opieką pani Hatterick która była zacną i dobrą kobietą.

Po tych słowach zamilkł na chwilę; w jego jasno niebieskich, łagodnych oczach był łaskawy marzący wyraz, który łącznie z nieładem w pokoju i stołem założonym papierami kazał mi widzieć w nim raczej myśliciela i pisarza niż człowieka czynu. Własne słowa jego potwierdziły mię w tem mniemaniu.

— Zapewne nie jeden starzec spojrzawszy na swe ubiegłe zycie pomyśli że nie uczynił tyle dobrego na świecie ile było w jego mocy; ja to szczególnie czuję kiedy wspomnę na tego biednego chłopca. Otaczała go zawsze tajemnica, powinienem był może usiłować ją rozjaśnić i przekonać się czy nie był ofiarą jakiej krzywdzącej go intrygi, ale na nieszczęście nie umiem uchwycić stosownej chwili do rozpoczęcia dzieła — a potem jest już za późno.

— Pan go znałeś? — napomknęłam widząc że zaczyna wpadać w marzenia nie należące do rzeczy.

— Czym go znał? Kochany chłopczyna codziennie do mnie przychodził od siódmego roku swego życia, na lekcye łaciny i gramatyki i w ogóle tego czego byłem w stanie go nauczyć. Pani Watterick była sprawiedliwą kobietą, i dopóki żyła chłopcu na niczem nie zbywało.

— Czy panu wiadomo kto płacił za jego utrzymanie? — zapytała Lelgarda.

— Płacono bardzo regularnie; podeszłych lat osoba co jakiś czas odwiedzała folwark, ale mi się zdaje że ona nie w swojem działała w imieniu. Więcej powiedzieć nie umiem. Wiem tylko że chłopiec wzrastał tak szczęśliwy jak tylko dziecko niem być może, nawet po śmierci pani Hatterick źle mu nie było, chociaż Gedeon Hatterick szorstkim był człowiekiem.

— Dla czegóż stąd wyjechał? domyślam się bowiem że to uczynił, — zapytała Lelgarda.

— Ach! tego sobie właśnie darować nie mogę; moje nieszczęsne roztargnienia wszystkiego złego stały się przyczyną, — rzekł z westchnieniem pan Benson. Biedny młodzieniec, on mi ufał, i byłby zawsze rad moich słuchał. Miał może około czternastu do piętnastu lat, gdy Gedeon Hatterick przyszedł do mnie radząc się co ma czynić, gdyż fundusz przeznaczony na utrzymanie młodego Hamiltona nagle przestał dochodzić. Do tego czasu wypłacany był albo osobiście za pośrednictwem kobiety o której wspominałam, lub w banknotach pocztą nadsyłanych, zwykle z Londynu: nie wiadomo zatem było do kogo się zgłosić.

— Czy ona — czy ta osoba nigdy żadnych nie dała objaśnień o pochodzeniu dziecka?— zapytała z żywością Lelgarda.

— Oświadczyła tylko że rodzice jego oboje nie żyją i że roczna pensya będzie stale wypłacana dopóki żadne objaśnienia nie będą żądane. Pospolita to historya jak się zdaje— tu zawahał się i zarumienił się jak panienka potem mówił dalej: — Chłopiec zawsze uważany był mniej więcej jak gentleman, na co też niezaprzeczenie zasługiwał! najulubieńszemi towarzyszami jego byli dwaj moi siostrzeńcy, bawiący ówcześnie przy mnie. Namówiłem Gedeona Hattericka aby zatrzymał jeszcze przez jakiś czas chłopca i nauczył go samemu o sobie myśleć. Gedeona dochody pozwalały mu to uczynić, sądzę zresztą że przywiązał się do swego wychowańca którego wszyscy kochaliśmy, bo był dobrym i szlachetnym młodzieńcem, oraz pełnym niepospolitych zdolności. Właśnie w tym czasie jeden z moich kochanych chłopców zasłabł, i musiałem zawieźć go na zimę do Włoch zostawiwszy na probostwie zastępcę — biedak nikogo nie miał prócz mnie na świecie.

— Cóż dalej?—zagadnęłam nieśmiało, widząc że przerwa nadto się przedłuża.

— Ach teraz właśnie następuje najsmutniejsza część historyi. Mój biedny siostrzeniec słabł coraz bardziej—z nadejściem wiosny złożyłem zwłoki jego, na obcej ziemi— biedny chłopczyna! W ciągu ostatnich kilku tygodni choroby jego, ani na chwilę go nie opuściłem, więcej się zająłem niż wolno człowiekowi zająć się jednym wyłącznie przedmiotem. Gdy pochowawszy go przystąpiłem do przejrzenia stosu listów które się przez ten czas nagromadziły, znalazłem pomiędzy niemi jeden od biednego młodego Hamiltona w którym mię błagał o radę lub pomoc, a przy-

najmniej o życzliwe słowo. Gedeon Haterick, jak już o tem wiedziałem, ożenił się powtórnie z kobietą złą i skąpą, o której nie najlepiej mówiono w parafii. Nienawidziła ona biednego Hamiltona; i uważając go jako niepotrzebny ciężar w domu, wymogła na mężu że go zaprzężono do pracy w polu, a co gorsza wyrzucano mu ustawicznie jego zależne położenie i to co uważano jako plamę jego urodzenia. *(dokoń. nast.)*

Słówko o muzyce u Greków.

Że muzyka u starożytnych była wielce rozpowszechniona, o tem przekonywają liczne dowody hystoryczne. Bacznie śledząc za rozwojem cywilizacyi u starożytnych przychodzimy do przekonania, że im gdzie wyżej ona dosięgła tam i muzyka byłą w większém poszanowaniu, i z tém większém zamiłowaniem uprawiano ją.

Platon, który wielokrotnie wspomina o muzyce, wykazując jej piękno utrzymuje, iż muzyka wywiera niezawodny w pływ na cywilizacyą i obyczaje narodu. Ponieważ wyjaśnienie i wykazanie stopnia wpływu muzyki na cywilizacyą w starożytności, wymagałoby oddzielnych w tym kierunku studyów i znacznego nagromadzenia materyałów, co na turalnie nie może być przedmiotem szkicowego artykułu lecz książki, poprzestaniemy więc na króciutkiem zarysie, określającym w jakim stanie i znaczeniu znajdowała się muzyka w starożytności.

Historya Starego testamentu służy nam za dowód, iż hebrajczykowie od najdawniejszych czasów śpiewali pobożne hymny na cześć Stwórcy. W księgach zaś Mojżesza znajdujemy liczne wzmianki o instrumentach muzycznych; jak również o rożnego rodzaju uroczystościach, którym zawsze towarzyszyła muzyka, nie ostatnie zajmując miejsce.

Dawid był jednocześnie kompozytorem, rymotwórcą i egzekutorem tak jak każdy z ówczesnych muzyków. Widzimy więc Dawida śpiewającego cierpiącemu podówczas Saulowi psalmy własnej kompozycyi, których melodya bardzo silne na tym ostatnim miała robić wrażenie,

Pismo Święte wspomina wiele nazwisk tego rodzaju muzyko-poetów, a między innemi i Salomona, który był twórcą pieśni weselnych (Cantica Canticorum), w których odtworzył obyczaje ówczesne. — Jeremijasz pisał pieśni żałobne czyli treny, których treścią były lamentacye nad zburzeniem Jerozolimy a które sam śpiewał.

Jak w ogóle uważano muzykę i jak wysoko ją stawiano w starożytności, dowodem jest jej charakter religijny uwydatniony w modłach i pieśniach nabożnych. Asyryjczykowie i Babilończykowie cenili bardzo muzykę, a nawet stawiali ją wyżej nad poezyą, lecz nigdzie muzyka nie była tak rozpowszechnioną i nigdzie nie dościgła takiego stopnia rozwoju jak u starożytnych Greków, którzy zdawali się być najwięcej duchowo przygotowanymi do jej uprawiania. Potężny ten naród, wypiastowany na łonie uroczej natury, którą na każdym kroku, zniewolony był zachwycać się, wyrobił w sobie bardzo subtelne uczucie piękna i nadzwyczaj bujną imaginacyą. Stąd pojęcie religijne Greków, jakkolwiek bałwochwalcze, nacechowane jednak pewnym urokiem poezyi i ognistej fantazyi, pod której wpływem w każdym niemal powiewie wiatru, szumie drzew, łoskocie fal i t. p. spotykali coraz to nowych bogów, których widzieli na około siebie, słyszeli ich rozmowy i różne awanturki, jakie śmiertelnym płatali.

Przysłuchując się z rozkoszą dźwiękom wspaniałej natury, gromadzili w swej duszy coraz nowe pierwiastki, z którem wzrastając, utworzyli melodyą. Melodya stała się dla nich niezbędną tak jak wogóle zamiłowanie ich do sztuk pieknych, które doprowadzili do szczytu doskonałości. Cała ich architektura to dzieła wiekopomne, wysokości której nowa sztuka nie dosięgnie — Iljada i Odysseya będą na wieki wzorem eposu.

Wprawdzie z dziedziny muzyki starożytnej nie posiedliśmy w spadku żadnych arcydzieł muzycznych, które by nas zdumiewać i za wzór nam służyć miały, jak to ma miejsce w dziedzinie rymotwórstwa, wszelako zaczerpnąć możemy wyobrażenie o stanie muzyki u Greków z piśmiennych źródeł różnych autorów. Zebrane źródła takie pozwalają twierdzić, że muzyka w Grecyi zajmowała niepoślednie miejsce, że ją z zapałem uprawiano a wynalezienie jej przypisywano nieśmiertelnym bogom.

Amfion jest uważany przez niektórych jako wynalazca liry — najdawniejszego muzycznego instrumentu, od którego wzięła nazwę poezya liryczna. Wielu jednakże przypisuje ten wynalazek Merkuremu.

Lira starożytna miała sidm strun, na których przebierano palcami, lub pewnym gatunkiem ostro zakończonego rogu z kości słoniowej co się nazywało *plecten* lub *plectrum.*

Stąd też pochodzi, że wielu malarzy przedstawia Appolina trzymającego lirę w jednej a ów rożek z kości w drugiej ręce. Powszechna wieść stawia Orfeusza na czele muzyków i zarazem poetów. Owidjusz twierdzi, że Orfeusz słodyczą i pięknością swych pieśni czarował wszystkich, Horacyusz zaś powiada: „Orfeusz odwiół ludzi od zbrodni i łakomstwa, stąd wieść urosła że dzwiękiem swej pieśni łagodził lwy i tygrysy.‘ Orfeusz żył przed zburzeniem Troi i pozostawił około trzystu dziewięciu pieśni albo hymnów.

Homer w wielu miejscach swojej Odyssei mówi z pochwałą o dwóch Olympach grających na flecie.

Terpant miał być pierwszym, który otrzymał nagrodę na igrzyskach Karnieńskich w Lacedemonie, był to rodzaj konkursu muzycznego. Spotykamy wiele jeszcze innych imion tego rodzaju muzyko-poetów których podówczas miano w wielkiem poszanowaniu jak: Skrimis. Thimotheus, Archilocus, Aristoxeues i t. p.

Nie posiadamy pewnych danych, czy Grecy znali rytm, porządek i rozłożenie tonów na takty, czy wiedzieli coś o harmonii, na czem się ona u nich zasadzała i czy posiadali inne jeszcze odcienie sztuki tegoczesnej. Spotykamy wiele sprzecznych zdań w tym względzie.

Wielu utrzymuje, iż Grecy, jako naród wysoko poetyczny, tkliwy i z natury swej posiadający w najwyższym stopniu to subtelne uczucie, które my intuicyą nazywamy, a które zależy na wiernėm ocenieniu prawdziwego piękna, musieli doprowadzić muzykę do wysokiego stopnia wydoskonalenia, że harmonia, instrumentacya, nie mogły być dla nich obcemi, lecz o ile to ma być prawdziwe pozostanie na zawsze dla nas znakiem zapytania.

Wszelkie bowiem ślady ich znajomości teoryi muzycznej zagrzebane zostały w ruinach, a barbarzyńskie i pełne przewrotów politycznych średniowieczne czasy, zniszczyły i zatarły do reszty pozostałe ślady tej nadobnej sztuki.

Prędzej zgodzić by się można na to, iż muzyka w starożytności nigdy nie dosięgła, takiego znaczenia i świetności jakim się dziś odznacza. Sądzić by tak należało, jużto z tego że nie posiadali ani takich ani tak udoskonalonych instrumentów jak dzisiejsze, ponieważ to co nąm po nich pozostało, okazuje się wielce niedostateczne i ograniczone, — jużto, że żadne z arcydzieł, choćby w jakiejś części nie zachowało się, by posłużyć jako niezbity dowód ich wykształcenia i smaku muzykalnego. Jednakże trudno jest pogodzić zadziwiające wrażenia, sprawiane przez muzykę u starożytnych, a cytowane przez wielu autorów, przy tak szczupłych wiadomościach i ograniczonych instrumentach.

Zdaje mi się również dowiedzionem, że dzisiejsza doskonałość tej sztuki była im nieznaną, a przecież wypływały z ich muzyki wrażenia, których nasza nigdy by nie potrafiła wzbudzić. Grecy znali ten wpływ, jaki muzyka na nich sprawiała i często umieli się nim posiłkować. Opowiadają np. że malarz Theon z Samos wymalował młodego wojownika, który uzbraja się z pośpiechem, by iść walczyć, ale nim okazał go oczom zgromadzonej publiczności, kazał wykonać jednę z pieśni, którą grywano w chwili walki i dopiero potem odkrył obraz. Obraz ten wywarł nadzwyczaj silne wrażenie.

Znane są podania o artyście o którym Horacyusz powiada iż swemi pieśniami pełnemi ognia i siły wznosił męztwo i krzepił upadłych na duchu Spartanów.

Jest niezaprzeczenie pewnem, iż Grecy posiadali w najwyższym stopniu to subtelne uczucie gustu, który cechowała nadzwyczajna prostota, i ten byłby nieomylnie popsuty przez zbytek pewnych wyrachowań i formy efektów muzycznych, jakiemi się dziś posługujemy.

Efekty te i formy za bardzo nagromadzone nie czynią dobrego wrażenia i zacierają prawdziwe piękno, jakim odznaczają się utwory nacechowane prostotą.

Sądzić by więc można, iż wcale nieprzypadłyby Grekom do smaku skomplikowane opery dzisiejszych teatrów i zapewne niejedna z naszych brawurowych aryj wydała by się im nudną lub co najmniej śmieszną.

Im więcej starożytni byli naśladowcami natury, tem mniej umieli cenić zasługę pokonywanych trudności. Zapewne, że ich muzyka była mniej uczoną jak nasza, ale bezzaprzeczenia była więcej wyrazistą a sama jej

prostota sprawiała wrażenie i czyniła je więcej ogólném.

Dziś aby zrozumieć całą zasługę i wszystkie trudności naszej muzyki, trzeba ją umieć samemu doskonale lub przynajmniej urodzić się już z talentem. Dla tego też na ludziach nieposiadających tych warunków dzisiejsza muzyka nie robi żadnego wrażenia, a częściej nawet sprawia uczucie przykrości i rozdrażnienia.

Dla tych muzyka powinna koniecznie przyoblekać szaty zmysłowe, powinna jej dopomagać akcya, kostyumy i dekoracye sprawiać mają wrażenie w większym lub mniejszym stopniu przyjemne.

W usprawiedliwieniu zdania, dla czego muzyka u starożytnych wywoływała wrażenia jakich by dziś nie zdołała osiągnąć, można by jeszcze i to dodać, że jakkolwiek muzyka w starożytności była wielce rozpowszechnioną, jednakże to rozpowszechnienie muzyki u starożytnych było zupełnie inne niż w dzisiejszych czasach. Wtedy pewne tylko wyjątkowe indywidua egzekwowały ją a ogół tylko słuchał, gdy dziś wielu mamy egzekutorów lepszych lub gorszych. Obecnie więc wszyscy prawie mniej więcej się nią zajmują, zrosła się ona z naszém życiem, lecz zarazem, że tak powiem, spowszedniała, a przez to utraciła tę cechę jaką nosiła u starożytnych, pewnego namaszczenia i świętości, gdy w wiekach dawnych jakkolwiek była również związaną z życiem narodu, bo żadne uroczystości czy też zobawy obejść się bez niej nie mogły — lecz uprawianą była przez pewne tylko indywidua, które otaczano jakąś aureolą poszanowania i wywyższenia.

Dzisiejsi pragną coraz nowych wrażeń, coraz silniejszych i więcej zmysłowych, są nawet i tacy którzy chcieliby że tak powiem, zmateryalizować muzykę i uzmysłowić jej wrażenia. Lecz o ile to się da wykonać i czy to przyniesie dla muzyki jaką korzyść bardzo o tem możnaby wątpić. Prędzej zgogzilibyśmy się nazwać to upadkiem niż wzrostem.

Według nas, przy największym wzroście i postępie najnowszej szkoły dzisiejszej, szkoła włoska pozostanie zawsze niewyczerpaną skarbnicę melodyi i piękna.

Starożytni czerpali naukę i swoje natchnienie z natury. Muzyka ich była mniej wypracowana, mniej napuszona mniej świetna i mniej uczona jak nasza, miała tylko na celu malować namiętności, dla tego też stanowiła język zrozumiały dla wszystkich i wywoływała wrażenia żywe i ogólne.

Z Grecyi muzyka wraz z innemi sztukami i naukami przeniosło się do Rzymu, lecz tu ani na krok dalej nie postąpiła. Rzymianie byli tylko naśladowcami Greków w tym względzie — a przyczyny tego zastoju muzyki u Rzymian, szukać potrzeba w charakterze narodu.

Poznanie znaczenia muzyki, stopnia jej wykształcenia i rozwoju w starożytnej Grecyi wystarczyć może najzupełniej do wyrobienia sobie pojęcia o stanie tej nadobnej sztuki w starożytności w ogóle. Ze wszystkich bowiem narodów starożytności, Grecy posiadali ją wnajwyższym stopniu i tam kulminacyjnego punktu swego rozwoju dosięgła. *J. S.*

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Sieradz, dnia 8 Lipca 1876 r.

Mniemany *koniec świata*, który miał nastąpić w dniu 4 lub 5 b. m., i wszystkich wszystko w proch obrócić, przeszedł spokojnie. Z wieczoru d. 5, ponad naszem miastem pokazały się ciemna chmura, która wyrzuciwszy na nas porządną massę wody, bez grzmotów, w dalszą ku zachodowi udała się wędrówkę. Zdaje się więc, iż owemu amerykańskiemu badaczowi, który przepowiednią tę z kiąg Daniela wyczytał, w skutek nadmiernego nadwerężenia sił umysłowych, wypadła piąta klepka z głowy, albo musiała to też tylko być kaczka dziennikarska.... inaczej bowiem tego nie pojmuję. Bądźcobądź żyjemy i basta! — odezwał się do mnie wczoraj, stary mój znajomy — przed kilkunastu laty przepowiednia była głośniejszą i wszystko się lękało, teraz lud prosty pod tym względem zmądrzał... i kpi z tych, co mu o podobnych rzeczach mówią.

Poczciwiec miał słuszność: dziś lud prosty inne zupełnie ma wyobrażenie o wszystkiem, co się w okół niego dzieje, i nie tak jak dawniej w lada co wierzy. Spytałem np. ostatnio wieśniaka, co też o zbliżającym się końcu świata sądzi, i czy przygotowuje się do śmierci. Ej-że, mój panie, odrzecze mi tenże, raz dałem się okpić przed laty, kiedy to kometa przyszła, i wtenczas było więcej strachu niż bólu: dzisiaj, choćby mię wszyscy chcieli przekonać o końcu świata, tobym nie wierzył.... Nie taki głupi już teraz człowiek. Wtedy z wielkiego przestrachu anim kapusty i kartofli w polu nie zasadził, bo dla kogóż?... W ten sposób był *koniec*, ale *taki*, żem ledwie z rodziną z głodu nie umarł, bo nie było nic do jedzenia...

Na takie *dictum acerbum*, anim się odezwał: bo proszę ja was, jakże ja, jako *simplex servus Dei*, mógłbym go przekonać.... o blizkim końcu świata? Musiałbym go chyba zawieść na terytoryum Wójtostwem zwane, gdzie w tych dniach wykopano mnóstwo czaszek i kości ludzkich, a byłby może nie tak gadał, na widok jak sam kiedyś wyglądać będzie; ale dałem pokój, zaniechałem zamiaru, obawiałem się bowiem, że na widok wcale nieprzyjemne wzbudzających wrażenie szczątek ludzkich, na apetyt mi zachoruje, dla którego żyć się tylko zdaje...

Wróćmy z miejsca wiecznego spoczynku i rozpatrzmy się też czytelnicy po tym Bożym świecie. Czyż nie ma już nic w tym Sieradzu, coby naszym 5 zmysłom dało niejakie zajęcie?... Owszem, jest dosyć, i tak: *widzimy* zastrzelonych 5 jesiotrów, kolosalnej wagi, z ikry których przyprawiany kawior najwybredniejszym smakoszom naszym, wybornie *smakuje; słyszymy* o złej konjunkturze drzewa (co nas bardzo cieszy, bo posiadacze lasów, nie sprzedawają takowych teraz nadsprejskim przybyszom), o nowem prawie mieszczańskiem, według którego nie ma być dozwolonem lokatorom, aby ich ptastwo domowe chodziło po miejskich pastwiskach, przez co przedmieszczanie — lokatorzy, bardzo słusznie *nosy na kwinty spuszczają;* szłyszymy dalej o przybyłym do naszego grodu jakimś dentyście, który podejmuje się bez najmniejszego bólu chorym przychodnim wyrwać... rubla, albo dwa za ząb i na odwrót, o zwróconej zgubie pieniężnej; *czujemy* nareszcie trapiącą nas bezustannie bezpieniężność i nielitościwą stagnacyą, która się i w naszym świecie finansowym, czy to z widoków politycznych, czy też innego tajemnicą pokrytego powodu, wciąż wzmaga. Pieniędzy z pochodniami wszyscy szukają, zgoła każdy jak ów wujaszek z komedyi Fredry „Piosnka wujaszka,“ publicznie oświadcza, że choruje, ale... *na co*, to już do ucha szepcze kapitalistom; a jeśli się który z dłużników we właściwym terminie nie uiści z należności, prowadzony bywa tam (ma się rozumieć, jeśli się pierwej nie ulotni za granicę i na to nie czeka), gdzie ja was teraz, czytelnicy na chwilę zaprowadzę.

W sieradzkiem więzieniu karnem, według wiadomości urzędowych znajduje się tylko jeden szpital dla mężczyzn i drugi dla kobiet; oprócz tego kaplica, przędzalnia lnu i fabryka płótna. Rzeczywiste więzienie, znajduje się w skarbowych zabudowaniach a mianowicie: główny gmach murowany, w którym siedzą mężczyźni, wybudowany na 234 osób. Murowany dom, gdzie siedzą kobiety na 48 osób. Murowany dom, gdzie jest fabryka płótna i szpital męzki obliczony na 64 osób, czyli wszystkie zabudowania pomieszczą razem 346 osób.

Ruch więźniów w r. 1875 tak się przedstawia. W dniu 1 stycznia było aresztantów mężczyzn 171, kobiet 50, w ciągu roku przybyło mężczyzn 188, kobiet 58, ubyło mężczyzn 256, kobiet 69. Na rok 1876 zostało zatem aresztantów męż. 103, kob. 39. Największa liczba aresztantów była dnia 1 stycznia r. b. 221, najmniejsza zaś 30 grudnia 1875 r. 127 osób.

Wszyscy aresztowani w przeciągu r. z. przesiedzieli razem 63,674 dni.

W sieradzkiem więzieniu w ciągu r. z. ubyło aresztantów: a) do katorgu i na osiedlenie 8, b) do innych miejsc i na zamknięcie wysłano 64, c) na wolność wypuszczono 242; d) umarło 11. Razem ubyło 325 osób.

W tymże rocznym okresie skazanych było na karę mężcz. 359, kob. 108. Przestępcy ci podług wyznań tak się dzielą: prawosławnych mężcz. 3; katolików mężcz. 311, kob. 96; protestantów mężcz. 12, kob. 6; żydów mężcz. 33, kob. 6. Razem mężcz. 359, kob. 108. Przestępcy ci podług stanów i powołania dzielą się: mieszczan i kupców mężcz. 52, kob. 8; włościan rolnych mężcz. 98, kob. 8, bezrolnych mężcz. 194, kob. 91; rzemieślników mężcz. 12; włóczęgów mężcz. 3, kob. 1. Z wyżej danej liczby umiejących czytać i pisać było 20, a mianowicie: mężczyzn 18, kobiet 2.

Podług rodzaju przestępstw, tak się to przedstawia:

Rodzaj przestępstw.	1 Styczeń 1875.	W ciągu r.		Zostało na 1876.
		Przy.	Ubył.	
Za sprzeciw. władzom.	—	11	10	1
„ podrobienie dokum.	—	2	2	—
„ wielożeństwo	1	—	1	—
„ morderstwo	10	6	8	8
„ dzieciobójstwo	6	3	8	1
„ świętokradztwo	—	5	—	5
„ grabież	5	2	4	3
„ szalbierstwo	—	2	2	—
„ podpalenie	2	3	4	1
„ kradzież	189	135	216	108
„ tułactwo	—	3	2	1
„ przemytnictwo	—	31	21	10
„ inne przestępstwa	7	43	49	1
Razem....	220	246	327	139

Przestępstwa spełniane przez aresztantów w murach więzienia były następujące: Niechęć do pracy przypadków 19, utrzymania niedozwolonych przedmiotów przyp. 3, popsucia skarbowych rzeczy 14, zuchwałości i nieposłuszeństwa straży — 28, pobicia się i sporów między aresztantami — 7, niedozwolonej gry—6, kradzieży—11, innych przestępstw — 5 przypadków.

Osądzonych przestępców, poddających się wyrokom poraz pierwszy, było 402, recydywistów 64 osoby.

W roku sprawozdawczym następujące roboty wykonane zostały przez aresztantów: przędzy lnianej 2040 talek, pacześnej 1588, paklanej 1041 talek. Każda talka składa się z 800 nitek, każda nitka ma długości 3 arszyny 4 werszki. Wytkano płótna: lnianego 2683 arsz. 7 werszk., pacześnego 8802 arsz. 4 wersz., paklanego 1797 arsz. 12 werszk. Aresztanci zajmowali się w fabryce przędzą lnu razem dni 10,628, tkaniem zaś płótna 12,113 dni. Za robotę w fabryce w r. z. aresztantom należy się rs. 313 kop. 31. Największy roczny zarobek jednego aresztanta wynosi rs. 14 kop. 40. Za robotę aresztanci otrzymują następujące wynagrodzenie: za wyprzędzenie 1 funta: lnu—15 kop., paczesi—5 kop., pakli — $2\frac{1}{4}$ kop.; za wytkanie 1 arsz. płótna lnianego 2 kop., pacześnego 1 kop., paklanego $\frac{3}{4}$ kop.. Wartość przędzy wynosi 502 rs. 72 kop., a wartość płótna 3939 rs. 40 kop. Utrzymanie fabryki płótna w 1875 r. włącznie z zarobkiem aresztantów kosztowało rs. 808, kop. 74, zakup lnu rs. 754 kop. 20, razem 1562 rs. 94 kop.

W szpitalu więziennnym w d. 1 Stycznia 1875 r. było chorych 25 osób, przybyło w ciągu roku 217, razem tedy było 242; z tej cyfry wyzdrowiało 218, umarło 11, ubyło więc razem 229 osób; zostało chorych na rok 1876 — 13. Najwięcej chorych było w Kwietniu, najmniej w Grudniu. Wszyscy chorzy aresztanci, przepędzili w szpitalu razem 6783 dni instytutowych.

Na utrzymanie sieradzkiego więzienia w r. 1875, wyznaczoną została summa rs. 17,711. Wydatkowano rzeczywiście 16,190 rs. 37 kopiejek, zostało więc 1520 rs. 63 kop. W tymże roku na wyżywienie jednego aresztanta włącznie z obuwiem, odzieżą i t. p. na dobę wydano $14\frac{3}{4}$ kop.; utrzymanie wszystkich w ogóle aresztantów w ciągu roku kosztowało rs. 9391 kop. $91\frac{1}{2}$.

Przy więzieniu znajduje się jeszcze t. z. areszt detencyjny, wybudowany na 32 osoby. 1 Stycznia r. z. znajdowało się w nim mężczyzn 2; w ciągu roku przybyło mężczyzn 136, kobiet 28; wszystkich było więc razem mężczyzn 138, kobiet 28. W ciągu roku ubyło mężczyzn 137, kobiet 26, zostało zatem na r. 1876, mężczyzn 1 i kobiet 2. Wszyscy przesiedzieli razem 3029 dni, najwięcej siedział aresztant 229 dni, najmniej zaś 2 dni. Utrzymanie jednego aresztanta kosztowało $12\frac{1}{4}$ kop., na utrzymanie więc wszystkich wydatkowano podług § 15, kalkulacyi 7, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych summy na utrzymanie sieradzkiego więzienia rs. 370, kop. $5\frac{1}{4}$.

W r. z. przedsięwziętą została kapitalna restauracya więzienia całego na summę rs. 15,022, kop. 51; dom ten pokuty teraz bardzo porządnie wygląda i.... nęci przechodnia. Czyby jednak kto do jego wnętrza dla satysfakcyi chciał na siestę zaglądać, o tem bardzo powątpiewam.

Maksymilian Kempiński.

PRAWA POWRACANIA

I KOJARZENIA SIĘ WYOBRAŻEŃ.

Każde wrażenie ma swoję ideę. Ideą czyli wyobrażeniem nazywamy tu rodzaj świadomości, wrażenie odczuwa się na nowo, podczas gdy powód który w poprzednich doświadczeniach wywołał to wrażenie nie powraca. Jestem w teatrze i słyszę śpiew, muzykę — odbieram wtedy tak nazwane wrażenie; jesli następnie wyszedłszy z teatru czuję jak mi coś w duszy śpiewa będzie to *wyobrażenie — idea.* Gdy dotknę językiem ałunu, gdy położę kawałek lodu na dłoni, odbieram pewne wrażenia chłodu zimna, ściągania. Potem chociaż ałun nie działa na język, chociaż lód nie leży na dłoni, mogę sobie przypomnieć i ałun i lód. Dziś żegnając się z odjeżdzającym przyjacielem, odbierałem mnóstwo wrażeń i nie przyjemnych uczuć. Jutro może mi się przypomnieć pożegnanie, słowa jakie mówił odjeżdzający, zlecenia jakie mi udzielił, odczuwam na nowo żal i inne też same uczucia jakich doznawałem wczoraj. Będą to *wyobrażenia czyli idee.*

Wrażenia zatem egzystują dwojako w duchu naszym, raz jako wrażenia drugi raz jako ich wyobrażenia, pojęcia, idee. Wrażenia różnią się od wyobrażeń stopniem natężenia (intensywnością). Wogóle wyobrażenie wspomnienie jest słabszem jak rzeczywiste wrażenie. Prócz tego wrażeniom jest właściwą oryginalność, pierwotność, wyobrażenia zawsze są pochodne, gdyż mają przed sobą jakieś wrażenie którego są powtórzeniem.

Wyobrażenia wywołują jedne drugie, łączą się, kojarzą, powracają i te processa odbywają się według pewnych stałych praw. Są to *prawa assocyacyi* lub *kojarzenia się wyobrażeń.*

Najnowsza psychologia sprowadza wszystkie prawa powracania i kojarzenie się wyobrażeń do dwóch, a mianowicie prawa *podobieństwa* i prawa *wspólności lub przyległości.* Będziemy się starali o ile można treściwie i przystępnie objaśnić znaczenie praw assocyjacyi następnie wskażemy objaśnienie niektórych zjawisk duchowych na zasadzie kojarzenia się pojęć, i zakończymy krótkim rzutem na historyczny rozwój teoryi assocyjacyi. Poznanie praw assocyjacyi jest można powiedzieć kluczem psychologii empirycznej.

I.

Prawo powracania i kojarzenia się wrażeń na zasadzie ich jednoczesności lub bezpośredniego następstwa w poprzednich naszych doświadczeniach. [1])

Zasadza się na tem że: *wrażenia odbierane jednocześnie lub w bezpośrednim po sobie następstwie, powracają razem t. j. ile razy powróci jedno z nich tyle razy stara się powrócić w myśli i drugie.*

Jednoczesnemi są wrażenia gdy je odbieramy na jednej jednostce czasu np. gdy dotknę ręką marmuru odbieram jednocześnie dwa wrażenia chłodu i gładkosci. — Wrażenia są względem siebie w *bezpośrednim następstwie* gdy świadomość nasza nie rozróżnia między jednem i drugiem żadnej jednostki czasu np. jeżeli za wrażeniem błyskawicy natychmiast następuje wrażenie grzmotu. Przy powrocie jednego z poprzednich wrażeń starają się powrócić w formie idei wrażenia odbierane jednocześnie z niem lub w bezpośrednim następstwie w poprzednich doświadczeniach.

Przykład najlepiej objaśni. Ktoś podróżował; był w Wiedniu na wystawie; odbierał tysiące wrażeń, widział pałace, gmachy. Teraz, jeżeli się go spytać, lub wspomnieć mu lub pokazać rycinę przedstawiającą *jednę* ze sal wystawy, natychmiast przypomną mu się przedmioty jakie widział w tej sali, osoby z któremi tam rozmawiał i tak dalej i tak dalej; jedno wrażenie wywołuje mnóstwo wyobrażeń i mianowicie takich które odbieraliśmy z niem jednocześnie lub prawie jedno cześnie.

Działaniu prawa przyległości w czasie podlegają nie tylko wrażenia t. n. zmysłowe ale i uczucia a także i ruchy. Wogóle można powiedzieć że stan ducha obecny wywołuje stany ducha przeszłe takie, jakie w poprzednich doświadczeniach naszych były odbieranemi z nim jednocześnie.

Przejrzymy w krótkości różne klassy zjawisk duchowych i wskażemy działanie prawa assocyjacyi; na powracanie wrażeń, uczuć i ruchów.

1. *Wrażenia zmysłowe* odbierane jednocześnie starają się powrócić razem. Przykładów można przytoczyć mnóstwo. Siedm kolorów tęczy przywodzi na myśl wyobrażenie łuku tęczowego. Często muzyka, melodya przypomina nam osobę która ją wykonywała lub różne okoliczności przy jakich ją słyszeliśmy. Zapach piżma przypomina zmarłego przyjaciela ojca lub brata, gdyż zwykle osobom bardzo chorym zapisują piżmo.

---

[1]) Inaczej możnaby powiedzieć prawo kojarzenia się wyobrażeń na zasadzie ich *bliskości, przyległości, styczności.*

Mówimy często iż rzecz jakaś przypomina nam to lub owo. Jestto działanie prawa powracania wrażeń na zasadzie ich jednoczesności w poprzednich doświadczeniach. Widzieliśmy kiedyś rzecz jakąś w rękach pewnej osoby, teraz ujrzawszy rzecz przypominamy sobie osobę, gdyż wrażenie obecne wywołuje wrażenie przeszłe w formie idei. Widząc przedmiot przypominamy sobie jago nazwisko i na odwrot nazwisko wywołuje w duchu wyobrażenie przedmiotu lub osoby. W poprzednich doświadczeniach gdy nam wskazywano osobę, mówimy jednocześnie jestto pan n. obecnie jedno wrażenie wywołuje drugie. Na tem zasadza się nauczanie dzieci nazwisk przedmiotów; wskazując rzecz mówimy jej nazwisko, potem nazwisko rzeczy wywołuje jej wyobrażenie,

2. *Wrażenie zmysłowe i uczucie* odbierane razem wywołują następnie jedno drugie. Na widok okolicy w której kiedyś doświadczyliśmy uczucia strachu przypomina się nam to uczucia strachu, i towarzyszące mu okoliczności. Rzecz należąca do osoby ukochanej wywołuje uczucie sympatyi. Osoba która raz obraziła nas będzie zawsze wywoływać uczucie nieprzyjémne. „Ile razy spojrzę nań, zawsze przypominam sobie obelgę, jaką mi wyrządził, zawsze czuję silną ku niemu nienawiść.” To zdanie jasno maluje psychologiczny proces. Kiedyś ktoś wyrządził obelgę i wywołał pewne uczucie, wtedy ja, którego on obraził odczuwałem 1. *wrażenie zmysłowe* tj. widziałem przed sobą tego człowieka 2 *uczucie* gniewu. Teraz gdy ujrzę go — uczucie gniewu powraca. Wrażenie wywołuje wyobrażenie czyli ideę poprzednich stanów duszy.

3. Dwa lub więcej *uczuć duchowych* (emotion) odbieranych jednocześnie powracają razem t. j. jedno wywołuje drugie. Jeśli wspomnimy postępek pewnej osoby, który wywołał w nas uczucia gniewu, wstrętu, pogardy; to uczucia te powracają znowu razem i znów odczuwamy wstręt, pogardę, gniew, naturalnie że obecnie uczucia te mają słabszy stopień natężenia.

4. Działaniu prawa powracania na zasadzie jednoczesności w poprzednich doświadczeniach podlegają nietylko wyobrażenia ale i *ruchy*. Wrażenie obecnie odbierane może wywołać powrót przeszłych stanów świadomości w formie idei, może także spowodować pewne ruchy. *Wrażenia obecne wywołują takie ruchy, jakie w poprzednich doświadczeniach zachodziły jednocześnie lub prawie jednocześnie z powracającemi obecnie wrażeniami*; inaczej wyrażając to samo prawo, *ruch i wrażenie zachodzące jednocześnie lub w bezpośredniem następstwie — powracają razem*; gdy powtórzy się wrażenie, powtarza się i ruch Ggdy zbliżę śpilkę lub igłę komu do ręki natychmiast usunie rękę, nie myśląc o tem. Tutaj wrażenie (widok zbliżającej się igły) wywołuje ruch taki, jaki dawniej zawsze następował po podobnem wrażeniu. Nieraz ukłuto cię igłą i wtedy odsunąłeś rękę (był to prosty przypadek) obecnie, gdy zaczęło się podobne wrażenie, zaczyna się i ruch jaki miał wtedy miejsce. Ujrzawszy spadający z góry przedmiot, machinalnie odchylamy głowę nie jestto ruch dowolny, gdyż wola nie miała nawet czasu przesłać swych rozkazów, jestto działanie prawa powracania ruchów na zasadzie ich jednoczesności w poprzednich doświadczeniach z wrażeniami. Tysiąc razy uciekaliśmy przed spadającym na nas przedmiotem, ruchy te były czynami t. j. pochodziły z rozkazów woli. Obecnie wrażenie (widok spadającego przedmiotu) wywołało ten sam ruch (usunięcie natychmiastowe głowy) jaki miewał miejsce w poprzednich doświadczeniach.

Ruchy dokonywane jednocześnie lub w bezpośredniem następstwie wracają razem tj. gdy jeden zostanie dokonany powtarzają się i drugie. Prawo to objaśnia nam cały system mechanicznych przyzwyczajeń, nałogów, jak chodzenie, taniec, gra na instrumentach. Fortepianista — pierwszy, drugi, trzeci raz zagra sztukę z nut — następnie może ją grać z pamięci, nawet zupełnie mechanicznie, nie myśląc otem jak grać, jakich ruchów dokonywać; palce same mu chodzą. Najtrudniejszem jest przypomnieć sobie pierwszy akkord, pierwszy pasaż, śpiewakowi pierwsze nuty, następne pójdą łatwo; gdy ten piewszy ruch doborowy został wykonany on sam następne wywoła w takim porządku w jakim one następowały w poprzednich doświadczeniach. Artysta siadający do fortepianu zwykle (jak to zapewne zauważył czytelnik) przebiera palcami włosy i wstrząsa głową, nie robi on tego ze świadomością, z celem, ale z przyzwyczajenia. Dwa lub trzy razy siadając do fortepianu wstrząsnął głową w tył, teraz ile razy siądzie do fortepianu zawsze powtórzy ten ruch, jeden ruch powtórzony (siadanie do fortepianu) wywołuje powtórzenie drugiego (odwracanie głowy w tył). Powtórzmy wypowiedziane na początku prawo.

1. *Wrażenia, uczucia i ruchy odbywane jednocześnie lub w bezpośredniem następstwie starają się wracać razem. Gdy jedno z nich powróci, powracają i drugie.* Stąd drugie wyrażenie tegoż prawa:

Stany ducha obecne (wrażenia, uczucia lub ruchy) wywołują 1. *wyobrażenia* stanów ducha przeszłych i takich jakie odbieraliśmy jednocześnie lub prawie jednocześnie z temi które obecnie powracają, i 2. *wywołują ruchy takie*, jakie w przeszłych doświadczeniach dokonywaliśmy jednocześnie lub prawie jednocześnie z powracającymi obecnie stanami ducha.

Im częściej się odbywa taka operacya tym łatwiej obecne wrażenie wywoła przypomnienie wrażeń przeszłych, lub ruch obecnie otrzymany wywoła szereg ruchów dawniej dokononywanych. Dzieci nawet uczące się wokabuł wiedzą że im częściej będą je powtarzać tem łatwiej przypomną je sobie, i tem prędzej, gdy nauczyciel spyta po polsku *koń*, odpowiedzą po łacinie „equs“. Łatwość przypominania sobie zależy w zupełności od liczby powtórzenia się wrażeń. Gdy raz dziecku pokażesz mappę Afryki i powiesz mu „to jest Afryka“ może potem gdy zobaczy tę samą mappę nie powie odrazu że to jest Afryka, lecz jeśli powtórzysz mu tę operacyą kilka razy, t. j. kilka razy pokażesz mu mappę i nazwiesz ją, to potem z wielką łatwością widok mappy wywoła w duchu dziecka powrócenie słowa „Afryka“. Wrażenie obecne wywoła wyobrażenie wrażenia odbieranego w przeszłości.—Tak samo i co do ruchów, im częściej gramy jaką sztukę, tym prędzej i łatwiej potem pierwszy akord uderzony wywoła następne t. j. jeden ruch wywoła powtórzenie się drugich.

II.

Prawo powracania i kojarzenia się wyobrażeń na zasadzie ich podobieństwa.

Wrażenia obecne wywołują powrócenie w myśli podobnych do nich wrażeń przeszłych t. j. ile razy odbieramy jakie wrażenie, zawsze wrażenie odbierane dawniej, a podobne w czemkolwiek do obecnego powraca w myśli, lub stara się powrócić. Myśli kojarzą się na zasadzie podobieństwa; myśl jedna wywołuje drugą podobną do niej. Proces więc taki przedstawia dwa punkta 1. podobieństwo obecnego wrażenia do jakiegoś innego wrażenia odbieranego dawniej, i 2. powrócenie w myśli tego dawniej odebranego wrażenia w formie idei czyli wyobrażenia.—Przykład najlepiej objaśni działanie prawa podobieństwa. Gdy mieszkaniec okolic górzystych podróżując po płaszczyznach nagle ujrzy wzgórek, wrażenie to przypomni mu strony rodzinne, to jest wywoła w myśli powrócenie wrążeń dawnych, podobnych do obecnego; jestto działanie praw *podobieństwa*. Jeśli następnie wyobrażenie gór rodzinnych wywoła w myśli szereg innych wyobrażeń, jak domu w którym się urodził, szkoły gdzie się uczył, przypomni sobie rodziców, braci, przyjaciół, kolegów i niejeden figel spłatany w szkole, będzie to działanie prawa *przyległości*. Wrażenie wywołało w myśli wyobrażenie, z powodu podobieństwa, a to ostatnie wyobrażenie (okolica rodzinna) wywołuje massę innych, takich mianowicie jakie w poprzednich doświadczeniach były odbieranemi z niem jednocześnie lub w bezpośredniem następstwie.

Postaramy się przeszedłszy różne klassy wrażeń sprawdzać na nich działanie prawa podobieństwa.

1. Wrażenia otrzymywane wskutek rozdrażnienia aparatu *wzrokowego*, wywołują w myśli najrozmaitsze wyobrażenia podobne. Widząc kogoś przypominamy sobie przyjaciela naszego który jest z twarzy podobnym do tej osoby. — Obraz, malowidło, może nasunąć nam myśl o wrażeniach otrzymywanych za pomocą innych zmysłów tak mówimy „jakiż to koloryt miękki, ostry, harmonijny!“ Tutaj wrażenie wzrokowe wywołuje w myśli wyobrażenia wrażeń słuchowych lub innych, przedstawiających pewne podobieństwo do niego.

2. Wrażenia *słuchowe* wywołują również w myśli powrót różnych wrażeń podobnych, dawniejszych.—Tak słysząc artystę grającego mówimy, „ta melodya przypomina mi aryą z opery Mozarta l. c. p. Muzyka może przypominać nam różne głosy natury, ryk lwa, jęk dzwonów pogrzebowych, wschód i zachód słońca, burze i t. p. wywołuje zaś te wyobrażenia wskutek pewnego zachodzącego między niemi i tonami podobieństwa. O tonach mówimy że są jasne, o gammie że podobna do perełek. Tutaj wrażenie słuchowe wywołuje

wyobrażenie wrażenia wzrokowego odbieranego kiedyś gdy widzieliśmy perełki. Wskutek pewnego podobieństwa zachodzącego między wrażeniem odbieranem od gammy i wrażeniem wywieranem na nas przez sznur perełek, jedno wywołuje powrót w myśli drugiego.

3. *Wrażenia smakowe* odbierane obecnie wywołują powrót innych wrażeń, mówimy iż ten lub ów smak jest kolący, szczypiący; to przypomina nam w smaku melon, a to znowu stokfisza.

4. *Wrażenia węchowe*, jeden zapach przypomina nam drugi, mówimy że czuć tu siarkę lub spaleniznę, gdyż wrażenie odbierane obecnie wywołuje wyobrażenie wrażenia odbieranego dawniej.

5, Różne *wrażenia cielesne* bóle, dreszcze przypominają nam wrażenie podobne odbierane za pomocą zmysłów. „Czuję jakby mrówki po mnie chodziły.

6. *Uczucia* przypominają nam podobne do nich wrażenia zmysłowe, stąd mówimy o miłości że jest słodką, o sumieniu że gryzie; również o uczuciach mówi się że rosną, podnoszą się, gdyż stany te przypominają nam podobne ruchy.

Wszystkie porównania, metafory, allegorye są skutkiem kojarzenia się wyobrażeń podług podobieństwa. Dłonie ma zimne jak lód (wrażenie przy ujmowaniu dłoni przypomniało podobne wrażenie odbierane od lodu). Gdy poeta mówi: „Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto — to w duszy—jego pojęcia kojarzyły się na podstawie podobieństwa. Pojęcie kobiety, wywołało pojęcie puchu, gdyż upatrywał on pewne podobieństwo między kobietą i puchem. Następnie pojęcie puchu znowu wywołało w myśli poety pojęcie czyli ideę istoty wietrznej, anioła, znowu w skutku podobieństwa. Tak samo gdy mówi w „Grażynie“ iż „woda dyszała,“ wyobrażenie płynącej wody wywołało wyobrażenie ciężkiego oddechu.

Wrażenia lub idee obecne wywołują w myśli wrażenia przeszłe podobne do nich. Nastąpi to tem prędzej, im podobieństwo będzie większe i im częściej wrażenie bywa odbierane. Gdy raz lub dwa razy widzieliśmy kogoś, może ujrzawszy go znowu nie poznamy odrazu, lecz gdy będziemy go widzieć dziesięć, dwadzieścia, sto razy wtedy na widok osoby natychmiast powraca w myśli wrażenie odebrane pierwej. Na tem właśnie zasadza się poznawanie osób i przedmiotów. Poznawanie jestto powrócenie wrażenia przeszłego zupełnie podobnego, identycznego z obecnem.

Takiemi są dwa prawa kojarzenia się i powracania wyobrażeń. Psychologowie szkoły empirycznej, głównie Alexander Baine objaśniają ich działaniem wszystkie zjawiska umysłowości. Bieg obrazów podczas snu i marzenia; zjawisko pamięci, czyli pamiętania i przypominania; zjawiska takie, jak pytanie, zgadywanie, powątpiewanie; kojarzenie się pojęć w fakcie fantazyi, właściwego myślenia czyli rozumowania, znajdują zadawalniające rozwiązanie w działaniu praw powracania i kojarzenia się wyobrażeń, na zasadzie ich *podobieństwa* i *przyległości*. Nigdzie to działanie nie występuje tak jasno jak w kojarzeniu się obrazów sennych. Każdy może się o tem przekonać; należy tylko zaraz po obudzeniu się przebiedz myślą cały nasz sen a zobaczymy że składa się on z oddzielnych obrazów kojarzących się podług podobieństwa lub (co najwięcej) przyległości. W kojarzeniu się wyobrażeń fantastycznem, jakoteż w fakcie myślenia t. n. loicznego, assocyacya ulega działaniu naszych uczuć, popędów, życzeń i przyzwyczajenia. Już starożytni odrzucali działanie praw assocyacyi. Plato w Fedonie mówi że, „Przypomnienie wywołuje się przez przedmioty podobne.“ Tak samo dostrzegł działanie przyległości wrażeń. „Ażali nie wiesz że ujrzawszy lirę noszoną zwykle przez przyjaciela przypominasz sobie i tego przyjaciela“ i t. p. Arystoteles w traktacie o pamięci przedstawił jasno działanie powracania wrażeń na zasadzie *przyległości* i stara się objeśnić je działaniem ruchów zachodzących w organizmie. (Zielonogorski. docent Warsz. Uniw. rozprawa o duszy, Platona i Arystotelesa rozdział VII).—Jednakowoż uczeni starożytności nie odkryli w tych zjawiskach prawa; tak samo Locke, assocyacyą idei rozumi jako przypadkowe skojarzenie się dwóch pojęć i skojarzenie się tak silne, że jedno z nich potem wywołuje drugie, za powróceniem jednego, wraca drugie. (Troicki. Psychologia Niemiecka rozdz. III). Dopiero Hume odkrył w kojarzeniu się wyobrażeń, stałe następstwo, odkrył *prawa assocyacyi czyli kojarzenia* się wyobrażeń, przyjął jednakowoż trzy prawa assocyacyi, t. j. prawo podobieństwa, przyległości i przyczynowości. To ostatnie od czasów nowego pojmowania przyczynowości, zostało sprowadzone do działania prawa przyległości w czasie.—Brown i Alexander Baine przyjmują dwa tylko prawa assocyacyi. — Ostatni odróżnia assocyacyą złożoną i assocyacyą twórczą, która różni się udziałem woli, t. j. uczuć, popędów.

W.

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— Czytamy w „Tygodniku Rolniczym“. Dowiadujemy się znowu o nowej zdobyczy, jaka skutkiem naszej obojętności na sprawy rozwoju przemysłu krajowego, dostała się w udziale obcym przybyszom. Od lat kilku bowiem, właściciel Kuznocina, w celu racyonalnego spożytkowania tej miejscowości, usiłował zawiązać współkę akcyjną, w celu założenia fabryki tkanin lnianych. Miejscowi jednakże kapitaliści, bezwzględnie, iż zakład Żyrardowski tak świetnie prosperuje w rękach dzisiejszej firmy, i obok tego zapewnia tęż samą szansę powodzenia i innym tego rodzaju przedsiębierstwom, z zwykłą w takich razach obojętnością przyjęli powyższą propozycyą. Mimo jednakże powszechnego w podobnych materyach indyferyntyzmu tuziemców, projekt przeszedł w życie, ale go zużytkowała jedna z zagranicznych firm, i jak donosi „Kuryer Codzienny“, w majątku Kuznocin, położonym w powiecie Sochaczewskim gubernii Warszawskiej, dawno projektowana fabryka płótna i innych wyrobów lnianych, jako w miejscowości wielce do tego odpowiedniej, przyjść ma do skutku za sprawą jednego z zagranicznych właścieli podobnych zakładów,

Okoliczność ta nastręczy znowu pole do obszernych jeremiad przeciw wyzyskiwaniu miejscowego żywiołu, na korzyść napływowego, choć w gruncie rzeczy, nie mamy bynajmniej prawa wyrzekać i utyskiwać na bogacących się z nas i w kraju naszym zagranicznych przybyszów, skoro sami na tem polu nie chcemy czy nie umiemy się łączyć i pracować wspólnemi siłami. Cóż nam przeszkadza działać tak indywidualnie jako i zbiorowo? czy brak kredytu lnb nieznajomość własnych interesów? Ani jedno, ani drugie, ale prosta niechęć, apatya, indyferentyzm, brak odwagi do przedsiębierstw podobnych i obawa umieszczenia w nich posiadanych kapitałów.

— W Kieleckiem niedawno odbyła się sprzedaż pewnego majątku. Przyczem faktor żyd dostał tak zwanego faktornego od każdej strony po 2,000, wyraźnie dwa tysiące rs. (!), nie licząc w to pieniędzy wyłudzanych od stron obu za przejażdżki, fatygi i t. p. w mniejszych kwotach po 50 i 25 rs. i to kiedy cały obrót interesu mało co przenosił 60 tysięcy rubli. Że brak u nas porządnych domów komisowych do załatwiania podobnego rodzaju interesów, że niedbalstwo, którego głosy rozsądku tyle razy podejmowane zwalczyć nie mogą, — cóż na to poradzić? Lecz taka łatwowierność i gotowość dać się wyzyskiwać szalbierzom — jest nie do przebaczenia!

— *Odes. Wiest.* pisze, że w kółku miejscowych bankierów wygotowuje się projekt urządzenia Lombardu, w celu udzielania drobnych pożyczek na zastaw ruchomości, a to dla ukrócenia grasującej w Odesie lichwy, doprowadzającej do ostatecznej nędzy uboższych mieszkańców miasta. Lombard podobny przydałby się bardzo w Warszawie i w innych miastach Królestwa, których uboższa część mieszkańców jęczy pod jarzmem drobnych lichwiarzów, zmuszana w potrzebie dawać ostatnią nieraz odzież w zastaw na niesłychanie wysokie procenta.

Literackie i Wydawnicze.

— P. Jaczewski przełożył na język polski komedyą Legouvé: „Konik polny i mrówka“ oraz Dumasa „Żonę Klaudyusza.“ P. Szober przekłada „Lutnistę z Kremony“ Coppée.

— Prof. Stan. Budziński wydał ciekawe studyum „O kradzieży i pokrewnych jej przestępstwach.“

— Wyszło z pod prasy Zygmunta Librowicza studyum w listach Żyda do chrześcijanki p. t. „Shylock.“

— Podobno w Lublinie ma zacząć wkrótce wychodzić pismo poświęcone rolnictwu p. t. *Plug*. Redaktorem i wydawcą ma być p. Kowalski, b. prof. instytutu agronomiczno-leśnego w Puławach.

— W Państwie pruskiem wychodzą następujące dzienniki w języku polskim: *Dziennik*

Poznański (codz. w Poznaniu), *Kuryer Poznański* (codz. w Poznaniu), *Orędownik* (trzy razy na tydzień w Poznaniu), *Warta* (literacki tygod. w Poznaniu), *Oświata* (tygod. w Poznaniu), *Gwiazda* (tygod. w Poznaniu), *Ziemianin* (tygod. w Poznaniu), *Ruch społeczno-ekonomiczny* (w Poznaniu—dwutygodnik), *Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk* (w Poznaniu), *Przegląd leśniczy* (miesięczny w Kórniku), *Gazeta Toruńska* (codz. w Toruniu), *Przyjaciel* (tygod. w Toruniu), *Gospodarz* (tygod. w Toruniu). *Przyjaciel ludu* (tygod. w Chełmie), *Pielgrzym* (tygod. w Peplinie), *Katolik* (tygod. w Mikołajewie na Szlązku), *Gazeta Górno-Szlązka* (tygo. w Bytomiu), *Monika* (tygod. w Mikołajewie), *Gazeta Lecka* tygod. w Ełku w Wschodnich Prusiech. Razem wychodzi pism 19. Należy tu zrobić uwagę że tak nazwana *„Gazeta Lecka,“* wychodząca w Prusiech Wschodnich, redagowana jest dla Mazurów protestanckiego wyznania i zaledwie policzyć ją można do czasopism polskich, bo pomijając tę okoliczność, że redagowana jest umyślnie zepsutym językiem, wydaje się przez Niemców, którzy, nienawidząc szczepu słowiańskiego, za pośrednictwem tego pisma starają się zgermanizować okoliczny lud Mazurów protestanckiego wyznania, który po niemiecku nie mówi i nie rozumie. Wszystkie pisma polskie pod rządem pruskim wychodzące posiadają w ogóle prenumeratorów 31,660. W przeciągu roku publiczność polska wydaje na prenumeratę powyższych pism 101,700 talarów nie licząc w to opłaty pocztowej, które zresztą daleko taniej kosztuje, niż w królestwie polskiem. Przytem należy jeszcze zwrócić uwagę na to, że w państwie pruskiem w ogóle, druk i papier jest nierównie tańszy niż w królestwie polskiem, prenumerata zatem pism niższa jest, niż u nas. Przypuszczając teraz, że każdy egzemplarz prenumerowanego pisma posiada 25 czytelników, co ze względu na popularność wielu z tych pism, szczególniej ludowych, nie jest za wiele — będziemy mieli, że pisma polskie wychodzące w W. Ks. Poznańskiem, w Prusach Zachodnich, Wschodnich i na Szlązku (pruskim) posiadają czytelników 790,000. A ponieważ Polaków pod rządem pruskim znajdując się 2,500,000, wypada tedy, że więcej niż ⅓ część ogólnej polskiej ludności w Prusiech, jest czytelnikami pism peryodycznych.

— „Universal-Bibliothek“, wychodząca w Lipsku, zamieściła temi czasy Henryka Rzewuskiego „Pamiętniki Soplicy,“ w tłómaczeniu Filipa Loebensteina. Przekład ten znajduje się w 701—704 tomikach wydawnictwa.

Artystyczne.

— Oprócz obrazów p. Chełmońskiego, zakupionych na wystawie paryzkiej po nader wysokiej cenie, obraz p. Piątkowskiego „Bachantka“ nabytym tamże został przez jakiegóś bogatego Belgijczyka za 4,500 franków.

— Na wystawie Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych pomieszczoną obecnie została nowa praca Aleksandra Lessera przedstawiająca chwilę z życia Kopernika.

— P. Natalia Modl, artystka malarka (kaliszanka) wyjechała na stałe mieszkanie do Dysseldorfu.

Szkoły.

— W roku zeszłym w Wiedniu, otworzonym został w Akademii technicznej, wydział matematyczny dla kobiet, stanowiący dwa kursa. Liczba słuchających kursów, stanowiła z początku 70, w końcu wszakże roku szkolnego było ich tylko 50, z których złożyło egzamin 30, a w tej liczbie siedm z postępem celującym. W ogóle słuchające kursów matematyki odznaczały się pilnością i zapałem do nauki.

— W instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi, ukończyli w ubiegłym 1875/76 roku szkolnym całkowity kurs nauk: Na wydziale gospodarstwa wiejskiego: Wędrychowski Józef, Wroński Stanisław, Zwolski Adam, Moskalewski Józef, Pauller Mieczysław, Płużański Edward, Rojecki Jan, Tomorowicz Jan i Chrostowski Bolesław. Na wydziale leśnictwa: Głuski Karol, Żbikowski Władysław, Zienkiewicz Tadeusz, Lewandowski Tomasz, Morawski Władysław i Sieciński Eelicyan. Iustytut podejmuje się chętnie pośrednictwa w rekomendowaniu i wskazywaniu adresów osób pomienionych, w raaie gdyby kto z pp. właścicieli dóbr i posiadaczy lasów życzył sobie korzystać z usług tych osób w obowiązkach specyalnych, ze stosowną płacą.

— Ministerstwo oświaty uczyniło zadosyć zanosznym niejednokrotnie prośbom o utworzenie we Lwowie wyższej szkoły rysunku i modelowania. Do wprowadzenia w czyn tej pożytecznej myśli poczyniło się przeważnie Muzeum techniczno-przemysłowe lwowskie, które chce użyć lokalu i przyborów szkolnych z warunkiem, aby taż szkoła zostawała pod kierunkiem Muzeum. Przyłączenie szkoły do tak wzorowo prowadzonej dotąd instytucyi może być z wielką dla niej korzyścią. Dyrektorem szkoły ma być pan Tszirsznic, rodem ze Lwowa, Polak, były uczeń wiedeńskiej szkoły przemysłowej.

— W Wilnie zmarł zacny obywatel Adam Karczewski, w wieku lat 56, który majątek swój zapisał towarzystwu dobroczynności w Wilnie na stypendya giminazyalne i uniwersyteckie dla trzech biednych uczniów wyznania katolickiego. Cześć pamięci filantropa i cnotliwego.

Stowarzyszenia.

— „Prawit. Wiestnik“ ogłosił w Nr. 90 zatwierdzoną w grudniu przeszłego roku ustawę „Towarzystwa akcyjnego warszawskiej fabryki maszyn, narzędzi rolniczych i wyrobów surowiznowych,“ którego założycielami są p. bar: Antoni Fraenkel, bankier warszawski, i Stanisław Brun kupiec.

Naukowe.

— Dnia 6 czerwca w sali medycznej akademii petersburskiej, pani Rudniewa-Kaszewarewa broniła publicznie rozprawy na stopień doktora medycyny. Praca jej była już drukowaną po niemiecku w *„Archiv“* Virchowa. Profesorowie Karpiński, Bogdanowski i Iwanowski uznali ją za zupełnie wystarczającą. Nadanie tak wysokiego stopnia uczonego kobiecie, huczne i długie wzbudziło oklaski.

— Gabinet Archeologiczny Uniwersytetu Jagielońskiego, otrzymał w ostatnich dniach, od hr. Ludwiki Dembińskiej — Ibisa zabalsamowanego — od pp. Izydora Jabłońskiego, Wincentego hr. Łosia, A. H. Kirkora, publikacye archeologiczne—od p. Ludwika Łepkowskiego rysunki przedmiotów starożytnych—od p. Cezara Hallera miniaturę Kościuszki—od p. Teodora Wierzbowskiego monety. J. E. Namiestnik Galicyi hr. Alfred Potocki i Marszałek Sejmu Krajowego hr. Włodzimierz Dzieduszycki, zwiedzili Gabinet, w którym znów po niejakiej ciszy zimowej, poczyna ruch panować, zaczynają się już odwiedziny przejezdnych, co nieustannie tłumnie spieszą z zachodu i północy, jadąc przez Kraków, do wód lekarskich lub na podróże po zagranicy. W tych miesiącach Gabinet Uniwersytetu Jagielońskiego zwykle najliczniejsze dary odbiera.

Wynalazki.

— W tych czasach robioną była w Berlinie próba nowo wynalezionej maszyny Jana Belskiego, służącej do oczyszczenia ulic. Rzeczona maszyna ma tę dogodność, iż zabiera z ulic wszelką nieczystość i nieporządek nie robiąc ani kurzu ani przeszkody przechodzącym. Cała robota wykonywa się w szczelnie zamkniętym wózku. Wedle zapewnienia wynalazcy, maszyna oczyszcza w ciągu dnia przestrzeń 75,000 metrów kwadratowych. Do działania potrzebni są tylko dwaj ludzie i dwa konie. Próba dała pomyślne rezultaty. Okazało się, iż przy małoznaczącem ulepszeniu w mowie będąca maszyna znakomite oddać może usługi pod względem porządku miejskiego. O Warszawo! czy ujrzysz ty kiedy ową maszynę?...

Дозволено Цензурою. Варшава 1 (13) Іюля 1876 г.

W Drukarni Władysława Dębskiego. Warszawa, Nr. 20.

Wydawca Korzeniowski.

Redaktor Henryk Perzyński.